



WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 38 (311)
ROK VII
17 września 1967 r.

PRZESŁANKI DLA OPTYMIZMU

„Likwidacja białych plam” — jest właściwie hasłem starym. Może dlatego napawa optymizmem i... sceptycyzmem. Cieszą zobowiązania, plany szerokich akcji kulturalnych, ale również budzą wątpliwości ich realizację, martwią warunki, w jakich odbywać się ma zbliżenie kultury do powszedniości.

Obecny rok kulturalno-oświatowy zapoczątkuje szeroką akcję budowy, remontów i adaptacji różnych obiektów dla potrzeb kultury, ale to przecież nie rozwiąże problemu. Dobre warunki lokalowe — to połowa sukcesu w działalności kulturalnej, druga połowa — może jeszcze ważniejsza — to umiejętność stwarzania takich form rozrywki, aby nie zabrakło jej odbiorców.

Jednym z kierunków działania w bieżącym roku kulturalno-oświatowym będzie właściwe łączenie kilku dziedzin kultury — sztuki, oświaty, turystyki i sportu. Urzeczywistnienie tej akcji jest możliwe przy zorganizowaniu współpracy wielu instytucji, organizacji społecznych, klubów i zakładów pracy. W rezultacie tych wielostronnych powiązań łatwo będzie wyeliminować nie tylko trudności merytoryczne, ale także formalne w tworzeniu urozmaiconych i atrakcyjnych imprez kulturalnych. Pierwsze sukcesy, wprawdzie w małym zakresie, mają już niektóre domy kultury. Np. Krosno nie posiada Powiatowego Domu Kultury, ale doskonale rolę jego pełnią dwie dynamiczne placówki zakładowe. Zakładowy Dom Kultury Górnika Naftowca nastawiony bardziej na pracę artystyczno-teatralną i drugi ZDK Krośnieńskich Hut Szkła — bardziej „umuzyczniony”. Dwie placówki o różnym profilu zapewniają środowisku różne formy imprez kulturalnych.

ZDK hutników w Krośnie — już spełnia nowe zadania roku kulturalno-oświatowego. Prowadzi szeroką akcję oświatową; wyświetlanie filmów, prelekcje i spotkania z ludźmi nauki — z powodzeniem prosperuje tu także sekcja krótkofalowców. Imprezy artystyczne przygotowują zespoły estradowe i muzyczne. Duże zainteresowanie wzbudza już nowo założona sekcja sportowa. Włączenie do codziennej działalności zajęć „zielonej świetlicy” jest pierwszym krokiem właściwego łączenia kultury duchowej z kulturą fizyczną.

Przykład ten nie jest odosobniony. W myśl porozumienia między Ministerstwem Kultury i Sztuki a Głównym Komitetem Kultury Fizycznej i Turystyki, dążyć się będzie do ściślejszej koordynacji na pozór różnych dziedzin. Turystyka i sport dają ogromne szanse upowszechnienia kultury, czy przez oprawę plastyczną i muzyczną imprez sportowych, czy też przez łączenie ich z występami zespołów artystycznych.

Inauguracja obecnego roku kulturalno-oświatowego przebiegać będzie w naszym województwie już pod znakiem nowego hasła. Gromadzkie i powiatowe uroczystości związane będą przede wszystkim z otwarciem bądź to nowych, bądź odrestaurowanych i unowocześnionych placówek kulturalnych. Zmodernizowane kino w Strzyżowie będzie oddane do użytku podczas wojewódzkiej inauguracji. Tak zapoczątkowana akcja ma w ciągu br. udostępnić odnowione kina: w Łańcutcie, Bieczu, Pilźnie, Mielcu, Gorlicach, a obok tego rozpocznie się budowa lub remonty około 30 kin wiejskich. Szczególną troską otoczone będą powiaty, które dotkliwie czują brak jakiegokolwiek placówki kulturalnej. Wśród nich przede wszystkim powiat kolbuszowski i brzozowski.

Trudno teraz już podać termin zrealizowania tych planów — orientacyjnie podać można, że do 1970 r. wymienione środowiska powinny posiadać swoje kina. Podobnie przedstawia się sprawa z domami kultury. Powiatowe domy kultury otrzymała ma Jasło, Leżajsk, Tarnobrzeg, a budowę wielofunkcyjnego ośrodka kulturalnego przewiduje się w Dębicy. Kompleksowe placówki mieszczące biblioteki, czytelnie, sale widowiskowe, pomieszczenia dla klubów, z terenem na tzw. „zielone świetlice” planuje się z myślą o środowiskach wiejskich. Te świetlice umożliwią w przyszłości prowadzenie różnorodnych form działalności kulturalnej od oświatowej przez artystyczne do sportowych.

Szeroko pojęte hasło obecnego roku kulturalnego mieści w sobie starania, które zmierzają do utrwalenia i uczynienia pewnych imprez stałymi formami rozrywkowymi. Chodzi tu głównie o organizowanie w większych ośrodkach przemysłowych systematycznych występów profesjonalnych placówek artystycznych, np. wprowadzenie dni koncertów Filharmonii w Jarosławiu, Przemysłu, Stalowej Woli oraz stałych dni występów teatru we wszystkich tych miastach powiatowych, które dysponują odpowiednimi warunkami scenicznymi. Wyrobieniu nawyków kulturalnych, kształtowaniu u widza świadomego odbioru sztuki — służyć będzie szerzej niż dotychczas zakrojona akcja „wieś bliżej teatru”. Tę samą rolę spełni zorganizowany ruch miłośników sztuki (kluby miłośników teatru, muzyki itp.). Amatorskie zespoły teatralne będą mogły korzystać ze stałego poradnictwa, a dla konfrontacji i prezentacji swoich artystycznych osiągnięć czynna będzie Wojewódzka Scena Amatorska.

Postuluje się, aby tak Dni Muzyki Kameralnej w Łańcutcie, jak Rzeszowskie Spotkania Teatralne stały się imprezami tradycyjnymi o randze ogólnopolskiej. Czynniki te starania, aby „Jesiennie konfrontacje” zmienić w krajową wystawę twórców plastyków, połączoną ze zjazdem krytyków. Nikogo nie trzeba przekonywać, że właśnie te imprezy umożliwiają stworzenie prężnego środowiska artystycznego; ściągając artystów z całej Polski, podnosi się kulturalną rangę Rzeszowa, zwraca się uwagę na województwo jako piękny i atrakcyjny region kultury ludowej.

JUSTYNA WOS



„NA SCHODACH”

FOT. MENDYCHOWSKI

DWA OBLICZA DWOCH ZŁOTÓWEK

(ROZMOWA Z WICEPRZEWODNICZĄCYM PREZ. WRN — ob. MIECZYSLAWEM KACZOREM)

— Niedawno czytaliśmy w prasie centralnej o głośnym wyścigu w budowie dróg i o ile dobrze pamiętam, zwyciężyliśmy w nim 7 kilometrami asfaltowej szosy. Myślę, że postawa mieszkańców wsi rzeszowskiej, ich gospodarność, niecierpliwa chęć zerwania z tradycjami sielskiej, zabitej deskami, romantycznej wioski były decydującymi elementami tego konkursowego zrywu.

— Na pewno tak, znani bowiem jesteśmy w kraju z gospodarności i utrzymujemy się jako województwo w czołówce czynów społecznych od wielu lat. Ze najbardziej efektywne są owe czyny w komunikacji, przemawiałyby za tym kwota 280 mln złotych rocznie, taką bowiem wartością można by wyliczyć nowe drogi; w kontekście wszelkich inicjatyw społecznych, które od dwóch lat oscylują w granicach pół miliarda złotych, jest to kwota, z jaką żadna inna dziedzina budownictwa konkuruwać nie może.

A czy społeczne w kulturze?
— O, te są o wiele skromniejsze w złotychkach! Ubiegły rok przyniósł ich na ogólną wartość 45 mln złotych, co zresztą wcale nie jest kwotą niską w porównaniu np. z czynami w zakresie oświaty, które zamknąć by się dały kwotą 80 mln złotych, a przecież był to rok wyjątkowo obfity ze względu na zakończenie obchodów Tysiąclecia i budowy tysiącleci; rok, który nieprędko się powtórzy.

Istnieją zawsze dysproporcje potrzeb, dyktowane przez życie i zrozumiałe jest, że droga, światło są bazą zamożności; dom kultury czy świetlica będą produktem wtórnym tejże.

— Czy właśnie w ten sposób rodzą się inicjatywy społeczne? Zawsze w tej kolejności?

— Na ogół tak. Ale zdarzają się wypadki, gdzie proces ten przebiega odwrotnie, gdzie biedne wsie, które nie osiągnęły jeszcze szczytów zamożności przewyższają wartość deklarowanych czynów tamte w sferze bądź oświaty, bądź kultury. Ale zawsze wynika to ze szczególnej specyfiki wsi, bowiem jakichś ogólnych reguł nie może być tam, gdzie decyduje entuzjazm i ofiarność. Powiat rzeszowski np. wieździe prym w podejmowaniu inicjatyw kulturalnych i to jest naturalne; powiat leżański, który tuż za nim plasuje się w tabeli wysokiej wartości czynów służy już na szczególne wyróż-

nienie; a powiat tarnobrzegi, na pewno dziś jeden z najzamożniejszych, nie może poszczycić się wielkimi osiągnięciami. I w odniesieniu właśnie do niego znów możemy mówić o specyfice terenu, o zdumiewająco szybkim procesie przekształcania się z ubożuchnego obszaru rolniczego w arcybogaty okręg przemysłowy. Te zmiany w chwili obecnej rzutują raczej negatywnie na wszelkie inicjatywy społeczne; w przyszłości, nie jest to wszak wykluczone, być może właśnie na tym terenie świadomość społeczna zadecyduje o jego pierwszym miejscu na mapie czynów społecznych?

— Zatem zawsze decyduje specyfika terenu o wartości czynów?

— Naturalnie.

— Istnieją jednak powiaty „złe” i „dobre”; inicjatywy mierne i imponujące?

— Można by i tak to określić. Niechętnie mówię o powiatach słabszych, bo dobry leżański powiat już wymieniałem, dobry rzeszowski także (56 mln zł w 1966 roku w komunikacji i oświacie), dorzuć jeszcze cenne inicjatywy mieleckie; smutne zaś wyniki Leska czy Ustrzyk, które rzucają się w oczy przy ogólnym bilansie czynów w kulturze, są przecież wynikiem bynajmniej nie złej woli czy niechęci do podejmowania inicjatyw, ale ogólnego stanu demograficznego. Jedenaście osób na kilometr kwadratowym choćby miało najlepsze chęci — domu kultury nie wybuduje.

— Jakoś zupełnie niepostrzeżenie bez przerwy mówimy o inicjatywie wsi. Czy tylko ona ponosi cały trud wszelkich inicjatyw?

— Nie tylko, ale na pewno przede wszystkim. Jest jakaś prawidłowość w tym, że właśnie mieszkańiec wsi, pozbawiony niejednokrotnie w ogóle bazy kulturalnej, w pełni docenia jej wartość. Miasto jest zawsze bardziej opieszałe, mniej zainteresowane i przy tym mniej narażone na pustynię kulturalną. Dlatego wieś przoduje i staje się wzorem dla reszty województwa. Poza tym właśnie mieszkańiec wsi potrafi gospodarzyć sensowniej złotówką społeczną, od lat wszak przyzwyczajony do społecznych inicjatyw. Kiedyś drogi, później elektryfikacja nauczyły go gromadnego działania. Miasto jest bardziej bierno. W samym Rzeszowie nawet — ileż konkretnych inicjatyw z zakresu gospodarki komu-

nalnej można byłoby i trzeba byłoby podjąć! Niestety, ta sfera działalności nie jest nazbyt zauważalna.

— Ale przecież wiele złotych zebranych na wsi, wiele pracy zadeklarowanej przez wsie danego powiatu pochłania właśnie miasto powiatowe. Dlaczego tak się dzieje i czy nie jest to krzywdą dla rzeczywistych ofiarodawców?

— Może czasem i tak to odczuwają, ale życie i poważne gospodarowanie społecznym groszem często dyktują właśnie takie sytuacje. Jakich sens bowiem miałyby rozróżnienie po wsiach byle jakich świetlic, rozdrabnianie środków finansowych na obiekty drobne, bez przyszłości? Czyż nie istotniejsze dla upowszechnienia kultury jest — w miejsce pięciu takich obiektów wybudować jeden, promieniujący działalnością na dany teren? Nastawiamy się na wykorzystanie inicjatyw społecznych wsi — przy budowie i remontach powiatowych domów kultury i to jest chyba dziś naczelnym naszym zagadnieniem. Czekają na taki dom: Jasło, dom którego koszt będzie wynosił 12 mln złotych, Łańcut — 14 mln zł, Leżajsk — 9 mln zł, czekają — Dębica, Przeworsk, Ustrzyki, Lesko, Jarosław, Gorlice. Czekają i przygotowują się. Dotacje państwowe w dużej mierze pójdą właśnie na te cele, bo jesteśmy wyznawcami komasacji grosza. Lublin wyprzedził nas co prawda w ilości obiektów w ubiegłym roku; w ich jakości, wielkości bijemy go jednak na głowę i stąd chyba nasz powód do dumy.

— Jak przebiega sama realizacja czynów społecznych?

— Są dwie jej formy: system zlecony i system gospodarczy. Przy pierwszym nigdy nie wiadomo, jak wywiąże się z obowiązku wobec zleceniodawcy, czyli mieszkańców terenu dane przedsiębiorstwo, które podjęło się wykonania obiektu, ze względu na to, że moc przerobowa nie zawsze pozwala przyjąć inwestycję czynową; przy systemie gospodarczym zawsze z reguły obiekt bywa wykonany taniej i są wypadki, że szybciej.

— A zatem, upraszczając, ta druga forma ma spore zalety?

— Właśnie to sprawdza praktyka. Chłop nie zmaruże deski ni gwóźdź, za które sam zapłacił.

CIĄC DALSZY NA STR.

Człapanie pantofli, zgrzyt klucza i drzwi otwiera współlokator hotelowego pokoju. Starszy, około siedemdziesiąt lat liczący mężczyzna, w białej, sportowej koszulce, bez rękawów, w długich kaletkach.

— Dobra wieczór — mówię — mam przyjemność mieszkać z panem tę jedną noc.

Zajmuję wolne, równo zasiane łóżko, aktówkę opieram o szafeczkę, na której stoi szklana popielniczka i nocna lampka.

— Nie będzie panu przeszkadzać, gdy poczytam sobie? — pytam współlokatora, który w międzyczasie wsunął się pod kołdrę i zapalił papierosa. — Zda się już pan spać? — A tak, zdrzemnąłem się, bo co miałem robić? Jestem tutaj przejazdem. Zupełnie niespodziewanie musiałem skorzystać z hotelu. Może pan czytać... O, widzę, czyta pan „tygrysa”. Ja też lubię czytać te książeczki. Przeczytałem kilkanaście. Nie mogłem się od nich oderwać...

— Owszem, interesujące wydawnictwo — wpadam w potok jego słów, rozumiejąc, że mam do czynienia z takim co to „kocha nudzić”. A ja z przyzwyczajenia raczej chcę przetrząść kilka „tygrysi” karteczek i spać, spać, spać...

— Widzi pan — dodaje — „tygrys” to taka lektura do podróży. Mały format. Zmieści się do kieszeni. Napisane prosto, dość ciekawie... Ot, taka sobie lekturka...

— Widzi pan — współlokator obraca się na bok i kontynuuje rozmowę. — Mnie to interesuje, bo człowiek sam dużo przeczytał. Widziało się niejeden. W wielu tych zdarzeniach, opisywanych właśnie w małej książeczce ze znakiem tygrysa, uczestniczyłem. Bo, widzi pan, ja brałem udział w kampanii wrzesniowej.

— Właśnie czytam o obronie Westerplatte — mówię, otwierając książeczkę.

Mam nadzieję, że były uczestnik kampanii wrzesniowej, widząc zaczytanego, nie będzie mnie dłużej zanużać. Zagląbam się w lekturę. Niczym zmąconą cisza trwa jednak bardzo krótko. Znowu słyszę głos współlokatora, który, jak to się mówi, chwycił temat za rogi i nie puści, dopóki mnie nie zanużdzi, dopóki nie zmorzy go sen.

— Kampania wrzesniowa to dopiero początek tego, co przeżyłem później.

— Był pan partyzantem, czy w obozie? — trafiam!

— I tu i tu!

— Gdzie pan walczył? Na Podkarpaciu?

— Na Podkarpaciu w czasie kampanii.

— A w partyzantce?

— We Francji, w pobliżu granicy hiszpańskiej. Teraz ja przekreślam się na bok, odkładam „tygrysa” i chwytając temat za cały łeb z

rogami, staram się podtrzymać rozmowę.

— To rzeczywiście ma pan wiele przeżyć! Jak pan trafił do francuskiego ruchu oporu?

I tu rozpoczyna się opowieść francuskiego partyzanta.

— Po klęsce w 1939 r. znalazłem się w obozie internowanych na Węgrzech. Stąd, zorganizowanymi kanałami przedostawiliśmy się do Budapesztu, a następnie kierowani byliśmy nad granicę jugosłowiańską. Punkt przerzutowy, do którego skierowano mnie i jeszcze trzech innych, znajdował się w jakimś wiosce nad Drawą. Gospodarz, lokujący nas w jednym pokoju, wskazał na drzwi wejściowe.

— Tu są wypisane cztery nazwiska. Niech każdy z was wybierze sobie jedno. W razie jakiegokolwiek kontroli — nazywacie się właśnie tak.

Chodzi o to, że już wówczas, w jesieni 1939 r. Niemcy mieli pretensję do Węgrów, że ci ułatwiają Polakom przetrzut do Jugosławii. Należało się więc spodziewać kontroli policji. Gospodarz — Węgier zameldował w gminie czterech pierwszych Polaków, a wszyscy następni przybierali ich nazwiska. Mnie przypadło nazwisko „Jan Dubiel”. Nie na długo zresztą. Za kilka dni przyszła kolej na nas. W nocy przeprowadziliśmy się łódką przez Drawę. Patrol służby granicznej zaprowadził nas na strażnicę. Myśleliśmy, że nas odprawia z powrotem. Ale nie! Poczęstowano nas jakimś gorącym i silnym procentowo trunkiem. Wskazano drogę do najbliższej stacji kolejowej. Po kilkudziesięciu godzinach jazdy „na gapę”, znaleźliśmy się w Dubrowniku. A stąd greckim statkiem dotarłem do Marsylii, aby znowu znaleźć się w mundurze i wyruszyć na front...

— I przeżyć drugą klęskę — uzupełniłem.

— Tak! W pobliżu granicy szwajcarskiej dostałem się do niemieckiej niewoli.

Mój rozmówca usiadł na łóżku, zapalił papierosa i niespodziewanie zapytał.

— Ale ja chyba pana zanużdam? Chce pan czytać?

— Nie, nie! — protestuję — pana przeżycia są niezwykle interesujące. Proszę, niech pan opowiada. To tak, jakbym czytał „tygrysa”.

— Widzi pan — współlokator hotelowego pokoju zaciągnął się dymem — mnie życie nauczyło dyscypliny. Jako żołnierz walczyłem na froncie włoskim w czasie pierwszej wojny światowej, a w latach trzydziestych służyłem jako zawodowy podoficer w I Pułku Strzelców Podhalańskich w Nowym Sączu. Wychowywałem żołnierzy, byłem wymagający. Toteż kiedy znalazłem się w niewoli, kiedy sytuacja się dla mnie obróciła — teraz ja starałem się wykonywać wszy-

Niemcy po pewnym czasie wykryli nasz „kawał” i francuscy kolejarze, dzięki którym udało się zbiec z niewoli kilku Polakom, zostali rozstrzelani przez gestapo.

Byli zawodowy podoficer I Pułku Strzelców Podhalańskich zdusił w papierosie niedopałek papierosa. Chwilę posiedział w milczeniu i ponownie wsunął się pod kołdrę.

— Ale pana to chyba nudzi? — zapytał.

— Ależ...! — zaprotestowałem — i aby nie dopuścić do wygaśnięcia

tytułem „Narodowiec”, w której czytali jak to w Polsce źle, jak tu nie ma się w co uprać, jak to trzeba pracować od świtu do nocy za lyżkę zupy, jak to matka nie może nigdzie doś. ac wyprawki dla nowo narodzonego dziecka... Zeżłobł mnie to i w naszej polonijnej gazecie, co to dobrze o kraju pisze, odpisałem tym redaktorom z „Narodowca”, żeby nie robili ludziom z mózgu wody. Wówczas oni zamieścili artykuł, że „Albert zrobił się czerwony”. I tak zostałem „Czerwonym Albertem”. Jestem na rencie, mieszkam z żoną we Francji, ale od 1960 roku każde wakacje spędzam w Polsce. U rodziny. A później opowiadam jak to w kraju jest n a p r a w d e. I teraz już nie muszę nikogo przekonywać. A redaktorzy „Narodowca” żerują jeszcze na grupie naiwnych. Ale tych jest już bardzo, bardzo mało.

—No, rozgadałem się, a pan chce już chyba spać! — powiedział po chwili. Ja też jutro wracam w rodzinne strony, bo tutaj przyjechałem tylko odwiedzić kolegę z wojska, z I Pułku Strzelców Podhalańskich. Dobranoc!

Czerwony Albert zasnął, a ja jeszcze długo w nocy w rozmyślnych kroczymem szlakami jego burzliwego życia.

Julian Woźniak

NOC Z CZERWONYM ALBERTEM

stkie rozkazy. W ten sposób zdobyłem zaufanie swoich obozowych przełożonych. Zrobili mnie starszym grupy. To mi dawało więcej swobody. Chodziliśmy do pracy na stacji kolejowej w takiej małej miejscinie nad Renem. Ja, jako „starszy” miałem możliwość oddalania się od pracujących. Nawizałem kontakty z kolejarzami. Oczywiście trwało to kilka miesięcy, ale nie bez efektu. Co pewien czas, ze stacji, na której pracowaliśmy, wyjeżdżał pociąg towarowy do południowej Francji. Pociąg prowadził maszyniści niemieccy i francuscy. Postawiłem — jak to się mówi — na jednego, starszego wiekiem Francuza. I okazało się — dobrze trafiłem! Starszy maszynista przyjął propozycję transportowania w parowozie więźniów polskich i francuskich w głąb swego kraju.

W naszym jenieckim obozie zorganizowaliśmy tajny komitet, do którego wchodził Polacy i Francuzi. Od tego czasu stan liczbowy więźniów zaczął powoli, ale systematycznie tonieć. Francuzi podawali nam adresy swoich zaufanych przyjaciół, mieszkających obok tras przejazdu pociągu — wybawcy. Adresy te wkuwaliśmy na pamięć. Obowiązywała zasada: uciekamy na przemian — Polak — Francuz — Polak — Francuz...

Aż wreszcie przyszedł „mój” dzień, a raczej moja noc. Przede mną uciekło już czterech. Niemcy byli wściekli. Zaostrzyli czujność, a i nasza współpraca z francuskimi kolejarzami — bo trzeba panu wiedzieć, że ten stary maszynista, również ze swej strony wciągnął do konspiracyjnej działalności swoich zaufanych — działała sprawnie. Udało się. O określonej godzinie, niezauważony przez nikogo, wskoczyłem do przejeżdżającego parowozu. Wsunąłem się do wydrążonej w zmarniętym misie węglowej jamy. Otwór do niej maszynista ze swoim pomocnikiem zasłonił szczerline dużymi bryłami węgla. Poczułem się jak w grobowcu, ale za cenę wolności warto było przecieć zlamac... surowe zasady żołnierskiej dyscypliny i — związać! Niemcy, kontrolujący dokładnie cały pociąg, nie zauważyli niczego podejrzanego. Turkot kół po szynach stał się dla mnie najmiłszą pieśnią: Będziesz wol-ny! Będziesz wol-ny! Wytrzy-masz, Wytrzy-masz!

Mnie i jeszcze kilku innym, którzy uciekali po mnie, udało się. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że

interesującej opowieści, zagadnąłem:

— I ten maszynista skontaktował pana z francuskim ruchem oporu?

— Tak! Wyciągnęli mnie z jamy węglowej przed jakąś małą stacją i kazali się zgłosić do budki drożnika. Nie zairzymali pociągu, lecz zwolnili. Wskoczyłem — i jak nakazali — przelezałem w śniegu kilkanaście minut. W pobliżu nie było nikogo. Doszedłem do owej budki drożnika. Dyskretnie zająłem przez okno. Był sam. Czekaj na mnie. Poczęstował gorącą herbatą. Wystawił lampę do okna. To był umówiony znak. Za chwilę zjawili się dwaj j inni „kolejarze”. I tak trafiłem do partyzanckich szeregów, w których było już kilku Polaków. Walczyliśmy do zakończenia wojny. A potem? Potem otrzymałem kilka wysokich francuskich odznaczeń...

Mój rozmówca przerwał swoją opowieść. W hotelowym pokoju zapanaowała cisza. Słychać tylko było wodę, kapiącą z nieszczelnego kranu. Bałem się, by mój rozmówca nie usnął. Chciałem się dowiedzieć o nim jeszcze czegoś więcej. Zgasilem światło, a jednocześnie zapytałem:

— A kiedy pan wrócił z Francji do Polski?

— Ja nadal mieszkam we Francji — tej odpowiedzi zupełnie się nie spodziewałem. Zapytałem „dlaczego?” było mi jakiś nieporęczny. Ale mój rozmówca znowu się odezwał.

— Zaraz po wojnie pozostałem w francuskich przyjaźni, w glorii chwały i odznaczeń. A później — było różnie! Bałem się wracać. Tamtejsza prasa wypisywała o naszym kraju niestworzone rzeczy. I ludzie wierzyli. Aż wreszcie w 1960 r. nie wytrzymałem i poszedłem do konsulatu polskiego. Zapytałem wprost: „Byłem podoficerem zawodowym, walczyłem w kampanii wrzesniowej, następnie we Francji na froncie i w partyzantce! Czy jak pojadę do Polski to mnie zamkną?”. Urzędnik konsulatu roześmiał się: „A za co by mieli pana zamykać? Ręczę, że nic się panu nie stanie!”. I pojechałem. Niektórzy znajomi mówili wówczas: „Albert zwariował!” — bo Albert to moje imię i partyzancki pseudonim. „Już chyba go więcej nie zobaczymy”. Ale zobaczyli! Wróciłem, a oni nie chcieli wierzyć swoim oczom: „Przyjechał!” — mówili. Nie wierzyli też w to co im opowiadałem. Pokazywali tamtejszą gadzinówkę w języku polskim pod

Międzynarodowe spotkanie poetów w Strudze

W jugosłowiańskiej miejscowości Struga zakończyło się międzynarodowe spotkanie poetów. Na teoretycznej konferencji poeci i krytycy dyskutowali na temat rozwoju współczesnej liryki. Jednocześnie odbyło się szereg spotkań poetów z publicznością, w czasie których autorzy czytali swe nie opublikowane jeszcze utwory.

Główną nagrodę — Złoty Wieniec wieczorów poezji w Strudze — otrzymał Bułat Okudźawa. W wieczorach poezji uczestniczyło stu poetów i krytyków ze wszystkich republik Jugosławii, a także z Czechosłowacji, Etiopii, Francji, Indii, Norwegii, NRD, Polski, Rumunii, Turcji, Węgier, Włoch i ZSRR.

Tadeusz Tatar

Z cyklu: Z niedawnej przeszłości

Kobieta rytmicznie ciągnie dółki, a krowa stoi nieruchomo. Obie już przywykły do tej sytuacji. Niespełnione prośby kobiety i cierpliwe oczekiwanie krowy na koniec tego codziennego rytuału. Wreszcie kobieta stękając podnosi się ze stołka.

— Boli mnie w krzyżach, a ty chcesz zryć. Znowu tyli kawał drogi trza nieść trawę. Bliżej już nie utnie, dopiero przy szosie lańcuckiej. Żebyś wiedziała jak boli. Może mnie zawiąło w nocy, jak stałam koło Pelca, bo już nie mogłam ująć z tą płachtą. Pół fury ci przyniosłam, a ty wszystko zechciałaś i nie chcesz dać mleka. Co z tobą zrobić gadzie, co?

W sieni przedcedziła mleko przez płótno i weszła do izby. Izba ta jest kuchnią i sypialnią i wszystkim, gdyż cała chatupa składa się z tej izby i obory oddzielonej małą sianką, z której widać strych. Kobieta bierze miskę z półki przy drzwiach i wlewa do niej trochę mleka. Wdrabia do tego kawałek czerstwego chleba i zaczyna jeść. Bezbębne szczęki z trudem roznają ciemne grudki, z których ścieka mleko. Kobieta podnosi łyżkę z wahaniem, czuje boleśnie skurcze głodu w żołądku, sięga po sagan z

gotowaną wodą, wlewa po brzegi miski i wosypuje szczyptę soli. Jedno ziarnko soli potoczyło się po stole. Jest do połowy czarne, jak wszystkie ziarnka tej soli, jednak błyska w nim promyk światła. Kobieta maca palcem uronioną krużynę i wrzuca ją do miski. Miesza tę potrawę i je dalej.

Cały czas oczy jej nie zmieniają wyrazu. Kto by chciał zobaczyć oczy tej kobiety, musiałby zajrzeć głęboko pod gęste, ciemne brwi, z których sterczą w różne strony pojedyncze siwe włosy. Są to oczy prawie nieruchome. Ciężkie, napuchnięte powieki o czerwonych brzegach zakrywają je od dołu do połowy. Spod tych brwi i spoza tych powiek wyzierają właściwie tylko duże, rozszerzone źrenice otoczone kolorem wodorostów. Trudno powiedzieć, jak ta kobieta widzi. Okulista określiłby, że cierpi na astygmatyzm mieszanym. Jak ona nie sierpem tę trawę dla krowy, jak chodzi, jak pracuje — trudno powiedzieć, bo ludzie niedowidzący kupują okulary i długo nie męcząc się swoją ślepotą, więc nie wiedząc jak można całe życie chodzić i robić prawie po omacku. Chyba że ktoś jest całkiem ślepy, ale to co innego. Ta kobieta nie chciała być ślepa i nie mogła być ślepa. Patrzyła więc przytępionym wzrokiem i widziała wszystko po swojemu. Wiele rzeczy ze świata nie miało dla niej



nie nigdy ostrych kształtów ani wyraźnych barw, wszystko co było dalej kryła mgła, z której dochodziły tylko dźwięki. Świat jej dźwięków też był ograniczony — zamykały go oplotki własnej wsi. Nawet pociągu nie słyszała, bo nigdy w życiu nie potrzebowała iść na drugi koniec wsi, gdzie były tory kolejowe.

Więc siedziała teraz przy stole, żuła powoli chleb nasiąknięty tą ciecierz z miski i patrzyła przed sie-

bie w jasne kwadraciki szyb. Za oknem była wieś. Trzeba się zbierać i iść po trawę, aby wrócić przed nocą. Trzeba jeszcze dwa razy obrócić z tą trawą, bo futro we dworze zaczynają się żniwa i o świcie trzeba stanąć przed panem rzędca i poprosić, by przyjął, bo jak nie przyjmie...

— Nie można sobie wyobrazić co by było, gdyby nie przyjęli do żnu we dworze. Jak było plewienie buraków, to pan rzędca stał nad nią chwilę i patrzył na ręce. O, ręce to ona ma sprawne, chwytlive, nie przepuszczą żadnemu zielsku, wydrą wszystkie perz z korzeniami. Pan rzędca jednak stał i patrzył. Zpinata grzbiet pod tym patrzaniem, niżej i niżej, aż coś w środku trzaskało. Potem, gdy odszedł, nie mogła wyprostować się i myślała, że już tak zostanie zgęta nad pańskimi burakami. Dotykała delikatnej naci, pieściła ją palcami, czy w tym roku będzie duża, czy na długo starczy karmy dla Czarnej. Pilnie plewiła buraki i przerywała. Jeśli one dobrze urosną to będzie więcej liści jesienią. Bez tych liści nie uchowałaby gada. Ale zanim będzie można pozierać odciąć od buraków nać, trzeba przedtem pracować przy kopaniu dworskich ziemniaków, potem wykopać buraki, oczyścić, załadować na wóz i za tą całą pracę dostaje się nać z tej działki, z której wy-

CZAROWNICA
TRZYPIEK CZARCI

Krowa stoi spokojnie. Nikt światła z okna zatkanego kawałkami tekstury i szmatami nie rozprasza mroku, choć na dworze jest letnie południe. Promyki przeciskające się przez szpary gładką czarną, zmierzwiłą sierść zwierzęcia i odbijają się w jego dużych, smutnych oczach. Krowa cierpliwie żuje garść trawy i od czasu do czasu odwraca łeb w stronę kobiety pociągającej ją za dółki.

— No, dej jeszcze krzygnę — prosi kobieta. — Przyniosłam rano trawę, dużo świeżej trawy, zeżarłaś wszystko, a mleka ledwie na dnie. Zdrowa jesteś, prawda? Nie jesteś chyba chora, gadzie ty mój.

Cecylia Błońska

Z JEDENASTEGO PIĘTRA NA BRUK...

Przebąkowania, ploteczki o karze jaką miałyby uścić przedsiębiorstwo budujące siedzibę dla Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki w Rzeszowie wydają się niewczesne, przesadzone, wręcz budzące humor. Chodziłoby bowiem o jakieś formalne rozliczenie budowniczych z niedotrzymanego o s t a t u s u terminu, a przecież przedtem były inne, wcześniejsze o całe prawie lata.

Więc już te sprawy odkładając na bok, czekając cierpliwie aż istotnie tak długo oczekiwana placówka otworzy swoje podwoje, należałoby raczej pomyśleć, jaką treścią wypełni swoje wśród nas bytowanie.

Najłatwiejsza oczywiście wydaje się sprawa ze zorganizowaniem części czytelniano - barowej, czyli jeszcze jednej pijalni kawy połączonej (co zresztą też się chwali) z czytaniem gazet i czasopism w większym wyborze.

Nie o to jednak chodzi. Kluby Międzynarodowej Prasy i Książki zwołują już wypracować sobie pewien styl działalności, ba nawet współzawodniczyć między sobą i, co zdołałam stwierdzić na własne oczy, wyprzedzać się chwalebnie, wciąż coś doskonaląc.

Oczywiście nasza stolica z całym zespołem tego rodzaju placówek wie dzie prym. W Warszawie zresztą mieści się ośrodek dyspozycyjny przy ul. Bagatela, gdzie wyodrębniono salon prasy zagranicznej, prowadzący sprzedaż atrakcyjnych, poszukiwanych periodyków itp.

W Łodzi zapoznanie się z dnem powszednim tamtejszego Klubu wymaga czasu i uwagi. Do minimum bowiem zredukowano tutaj elementy tzw. kawiarnianego życia, wychodząc ze słusznego założenia, że w rejonie ul. Naruszewicza (gdzie Klub się mieści), na pobliskiej Piotrkowskiej jest dostatecznie dużo kafejek. Za to

ile przestrzeni znakomicie klimatyzowanej, urządzonej ze smakiem przeznaczono na czytelnie, na sale wykładowe. Na pomieszczenie dla kursów języka rosyjskiego, niemieckiego, angielskiego, włoskiego, dla raz po raz zmienianych wystaw. Jedną część dostępną jest wyłącznie zorganizowanym członkom Klubu. Długofalowa działalność kulturalno-oświatowa, oparta na poznaniu kultury obcych krajów, ich języka, literatury, sztuki tutaj znalazła realnych realizatorów. Spore grono ludzi starszych i młodszych, wiele młodzieży akademickiej, przyciszone w hallu rozmowy w rozmaitych językach, świadczą o tym, że Klub istotnie spełnia swoją rolę.

Z podręcznego telefonu ciemnoskóry młody człowiek prowadził z kimś rozmowę wycuczoną polszczyzną i błyskając olśniewającą bielą zębów umawiał się po prostu na spotkanie z łódką dziewczyną, zapewniając ją w szukany językiem, iż ogromnie się z tego cieszy...

Zarówno w Warszawie, jak i w Łodzi wybór czasopism i książek jest zdumiewająco bogaty dla przybysza z Rzeszowa. Zresztą i w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Krakowie doznawał on zaskoczenia. Nie jest bowiem tajemnicą, iż nasz „Ruch” przestał otrzymywać tego rodzaju wydawnictwa (niezwykle czasem interesujące i pozytywne dla artystów, architektów, techników) podczas gdy w Krakowie funkcjonuje bogato zaopatrzony antykwariat, sprzedający w cenie odpowiednio niższej te wydawnictwa, których nie rozprowadził KMPiK.

Jeśliby zaś pozawojewódzkie wojaże miały stanowić tzw. kamień o-

brazy, sięgnijmy bez fałszywej ambicji do doświadczeń Klubu w Przemyslu. Jego położenie na czarujących nadszańskich bulwarach jest nieco zbliżone do usytuowania rzeszowskiego Klubu na ulicznym ciągu, który miałby łączyć stary, Ratuszem zwieńczony rynek z Olszankami nad Wisłokiem.

Otwarcie Klubu z pewnością przyczyni się do uatrakcyjnienia tej dzielnicy; tak przecież blisko pryncypalnej arterii, świeci na ogół pustkami podczas godzin wieczornych, gdy ul. Kościuszki, 3 Maja pękają dosłownie od napływu spacerowiczów z całego miasta.

Chyba moglibyśmy, nie dając się zapeszyć, że ślać na to tylko wywołane metropolie (tak jest w Moskwie, w Londynie), oświetlać cały wiezowiec przy ul. Słowackiego podaj na 10-15 minut każdego wieczoru o określonej porze, od stóp do... jedenastego piętra włącznie. Nie zbijajmy się z pantajku tłumaczeniemi, że wkrótce szczyt, że szkoda energii elektrycznej. To się jednak sówicie oplaci, a ewentualny ubytek prądu raczej powetować surowym reżimem oszczędnościowym, gasząc na rozmaitych piętrach światło po skończeniu urzędowania pracujących tam instytucji.

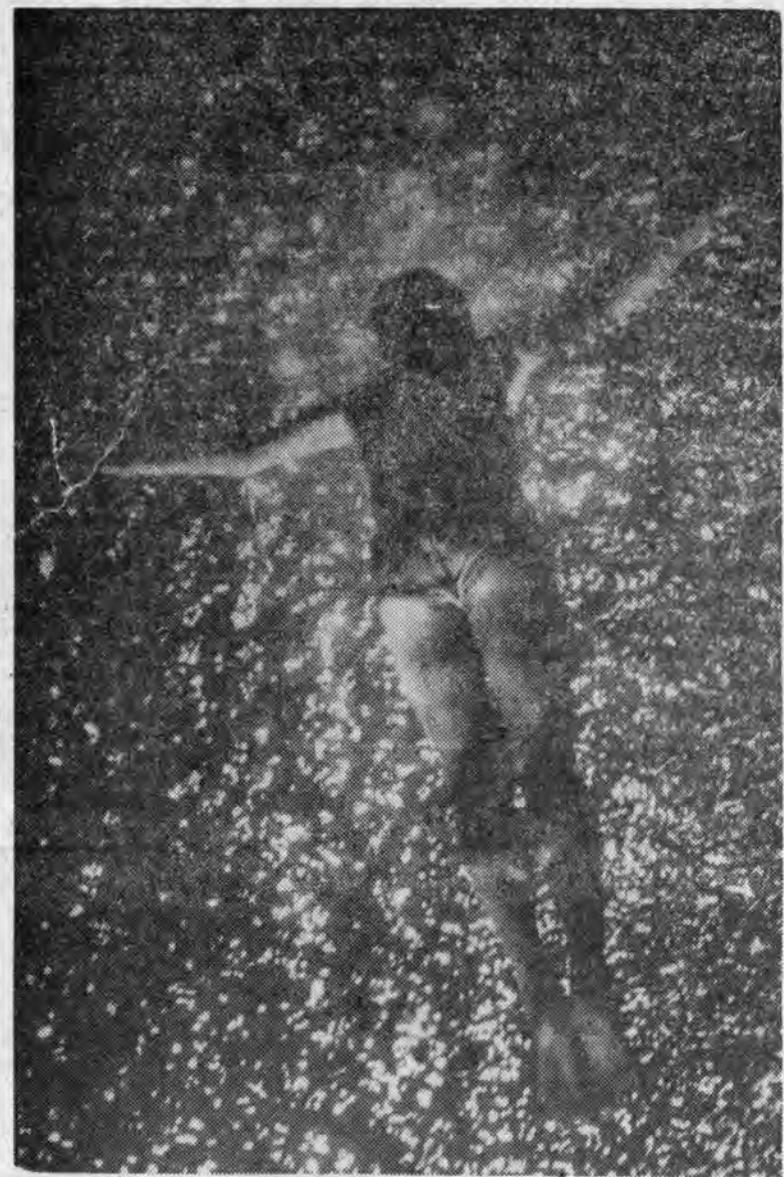
W tej części miasta, bardzo śródmiejskiej, wiele jeszcze można by zrobić dla pełnego, kulturalnego zagospodarowania. Dobrze, że jest tam kwaciarnia, że Polihymnia obok Szkoły Muzycznej, filharmonii (w budowie), znalazła jeszcze jedno pomieszczenie w Księgarni Muzycznej.

A gdyby dla pełnego skomponowania obrazu zlikwidować jeszcze sprzedaż piwa w pobliskim sklepie spożywczym? Piwosze z nietajoną satysfakcją doprawiający się wprost na obszernym chodniku, niekiedy w wygodnym pozycji siedzącej, prawdopodobnie opuściliby to miejsce, do którego gromadnie już zdolali przywknąć.

Przy odrobinie imaginacji łatwo możemy sobie wyobrazić bliski już jesienny zmrok rozświetlony rzęściec iluminowanym wiezowcem (10 minut dziennie dla urody miasta), z tłumem rzeszowian vis a vis ochotczo korzystających ze swego nowego Klubu. Wszyscy cieszą się, że chociaż ten jeden drapacz chmur tak się udał bez żadnego ale. Najwięcej zadowoleni są jego użytkownicy. Jeden z nich, dając temu wyraz śmiało onegdaj w słoneczne popołudnie, w otwartym oknie najwyższego piętra i przeciągając się z lubością strzyknął silnie z góry na dół, swobodnie po prostu, bez żadnej złej intencji.

Tyle, że wyzyny tak eksponowane — jak i ich ocenienie — zawsze zobowiązują. Do czegoś więcej...

ROZMAWIAŁA: KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA



„IKAR” FOT. J. LIGĘZA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Buduje dla siebie i za swoje. Jakość takiej roboty jest imponująca. Budowana w Białowej szkoła o 18 izbach lekcyjnych, może służyć za przykład gospodarności, a tym samym braku marnotrawstwa; dom kultury w Luźnej (Gorlickie) — za wzór znakomitej organizacji robót i uczciwej odpowiedzialności za grosz społeczny, każdy bowiem mieszkaniec odpowiada tu za wydzieloną tylko jemu część prac budowlanych; oddanie pięknego domu kultury w Pelkniach (Jarosławskie), inaugurując rok kulturalny, da także widomy dowód dobrych wyników systemu gospodarczego.

Z tego wynika, że czyn społeczny to nie tylko dobrowolny dątek pieniężny, czy praca, ale to także umiejętność gospodarzenia tym daniem oraz jakością tej pracy. Dopiero one bowiem decydują o efekcie ostatecznym. Istniejące dysproporcje między miastem a wsią — tu przede wszystkim znajdują swoje wytłumaczenie.

Kończąc jednak ten temat, chciałabym wiedzieć, także o innych proporcjach, najogólniej je okreś-

Dwa oblicza dwóch złotych

lając — złotówki społecznej do złotówki państwowej?

— W różnych dziedzinach czynów społecznych inaczej się one kształtują. W tej najważniejszej, dotyczącej komunikacji, dotacja państwowa jest najniższa; w kulturze te proporcje zachowują się niemal idealnie: jedna złotówka ludzka pociąga za sobą dotację jednej złotówki państwowej.

— A może trochę ileż, ilustrujących „kulturalny bilans”?

— Proszę bardzo: np. dane za rok ubiegły — na ogólną sumę 530 mln złotych wartości czynów społecznych — 45 mln należy się kulturze. Skąd się wzięły? Z sześciu źródeł:

dotacja państwowa wyniosła 14 839 tysięcy złotych, środki ludności — 6 111 tys. zł., — fundusz gromadzki — 7 913 tys. zł., inne środki ludności — 4 443 tys. zł., inne dotacje skomasowane — 2 596 tys. zł., wkład ludności w naturze — 10 116 tys. zł. I tak sumując to wszystko dojdziemy do wniosku,

że rok był rzeczywiście bardzo dobry, że mieszkańcy Rzeszowszczyzny rzeczywiście zapracowali na swoje zaszczytne miejsce w skali krajowej.

— Jaki będzie obecny; czy to już da się powiedzieć, mimo że nie skończony?

— Chyba tak, bo wykonanie na ogół pokrywa się z planowaniem, a zaplanowane czynów mamy zaledwie o 5 mln mniej niż w roku ubiegłym.

— A więc znowu rok dobry przed nami i żadnych powodów do niepokojów?

— Rok dobry na pewno, ale powodów do niepokojów jednak istnieje, obejmując inną sferę działań społecznych. Powodem tym — wykorzystanie istniejącej bazy, praca już sensu stricto kulturalna placówki. Dotychczasowe doświadczenia bowiem ilustrują piękne zrywy społeczne w zakresie budowy obiektu — z drugiej strony jaką inercję działalności kulturalnej takiego obiektu. Naturalnie nie

wszędzie i nie zawsze, ale właśnie takie późniejsze milczenie kulturalne przejmujące nas niepokojem i zadumą, czy rzeczywiście dwie złotówki: ludzka i państwowa zostały dobrze wykorzystane...

— Nasuwa się przeto nieodparcie wniosek o połączeniu dwóch inicjatyw: zapalu budowlanego i zapalu do pracy społecznej w późniejszym czasie. Dopiero tam, gdzie taka koordynacja istnieje możemy mówić o świadomym czynie społecznym. Bieżący rok kulturalny, miejmy nadzieję, będzie powodem do zastanowienia się nad podwójnym obliczem czynu społecznego w kulturze: tym, wymierzonym w złotówkach i tym niewymierzonym, gdzie pomysł i inicjatywa są często warte więcej od samej złotówki. W imieniu tych którzy rzecz pojęli w porę i tych, którym być może te uwagi ją podpowiedzą — dziękuję Panu Przewodniczącemu za rozmowę.

ROZMAWIAŁA: KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

kopało się buraki. Długa i ciężka jest droga do tej naci z pańskich buraków i dlatego tak pilnie i uważnie ludzie plewają, tak dbają, by rosły bujnie. W tym roku nac będzie dobra — tak powiedziały palce tej kobiecie i zaraz, jak uroczyta z pańskiego pola, poszła do Czarnej.

— Będziesz miała dobre żarcie — prawita jej przy uchu — żeby tylko krzyż mi się nie złamał, żebym tylko wydołała z całej dziółki zebrać w porę, żeby dyszcza nie było i żeby wyszło dobrze.

Teraz kobieta skończyła posiłek i ciężko podniosła się ze stołka. W sieni namacała sierp i lnianą płachtę, wzięła kolek do zaparcia drzwi i wyszła na dwór. Słońce było jeszcze wysoko, ale już po tej stronie wsi, gdzie zawsze kończy się dzień. Kobieta zamknęła drzwi na skobel, nasunęła chustkę głębiej na oczy i śmiejąc się podrygującym krokiem ruszyła drogą między chatkami. Kurz drobnymi kłębkami podnosił się spod jej nóg i zostawały na nim ślady bosych, szerokich, zniekształconych stóp.

Zanim doszła do ostatnich chat przy szosie słońce obniżyło się znacznie. Chcąc skrócić drogę przez zagumnia, skręciła na ścieżkę między dwiema zagrodami. Nie widziała, bo nie mogła dostrzec dwóch kobiet stojących za płotem, dobiegły do niej tylko głosy.

— Pozirejcie kumo, stara Ryznarka idzie — powiedział jeden głos.

— Zaprzyjcie dętwirzę do obory, bo waszej krasulę mleko odbierze — zachłystnął się strachem drugi głos.

JUŻ NIGDY NIC...

— Eee... po co by ta odbierała — głośniejszym szeptem odpowiedział pierwszy — przecie nic nigdy jej złego nie zrobiłam.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — upierał się drugi szept — ona trzymie z czarnym... w imię ojca i syna... Pelcyna słyszała jak gada z nim w oborze po nocy. Potym...

Ryznarowa nie dosłyszała co robi „potym”, bo słońce uparcie szło w dół i nie mogła zwolnić kroku. Czarna czekała na trawę.

cz. II — JUŻ NIGDY NIC...

I zaczęły się żniwa. Ryznarowa wracała z pańskiego pola uginając się pod ciężarem płachty, z której

wypadały żółbia trawy. Jej podrygująca postać pojawiała się i nikiła między chatkami, a z krzaków często odzywał się szczeniący śmiech i pokrzykiwania.

Ślepa Ryznarka! Ślepa Ryznarka! Najbardziej zawzięty był chłopak tego Kielara co go nazywali „wielobny”, bo ciągle się modlił, a na Boże Ciało to najpierwszy pchał się do baldachum, choć to żaden kmięć, tyle że starszego syna na księdza wykształcił. Ten Wojtek, kielarowy bachor, gdy tylko zobaczył Ryznarową to przyrzeciał się do niej jak rzep psiego ogona, jak giez krowiego boku i skakał, przedrżniał chód starej, porykiwał jak krowa i wrzeszczał.

— Nastąpi się czarna, będziesz gówno żarla.

Ryznarowa wśród tego jęzgotu kuli się i bezwiednie powtarza — Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny... Przypiesza kroku i ostatkiem sił dopada chaty. W sieni rzuca łoból i siada ciężko dysząc. Ręce jej zwisają bezwładnie, a czarne splekane palce drgają, jakby żyły swoim odrębnym życiem. Ręce tej kobiety są piękne w swoim tragicznie. Same pracują na swoje unicestwienie. Ręce, które nie znają odpoczynku, które są oczami, parobkami i najbliższymi przyjaciółmi.

Po chwili wytchnienia podnosi się, nakłada trawy za drabinę

Czarnej, która bez pośpiechu zaczyna ją smykać. I znów powtarza się scena dojenia, którą już znamy. Potem Ryznarka coś je, bierze wiadro i idzie do pobliskiego potoka po wodę. Ostrożnie schodzi po stopniach wyłożonych na stromym brzegu jaru, którego dnem płynnie latem mała stróżka. Woda jest zimna, bo jar gęsto zarastał krzakami, wierzbami i olszyną. Ryznarka ma swój dotek, w którym można nabrać pół wiadra. Studni nie ma. Józek, jej mąż, chciał wykopać studnię, nawet już upatrzył miejsce, ale nie zdążył.

Wszystko to stało się nagie. Do dziś, choć to już tyle lat, bo na Piotra i Paulę będzie chyba ze dwadzieścia, nie może się z tym pogodzić. Nieraz siada przy oknie, trzyma w rękach ich portret ślubny i patrzy na twarz Józka. Nie wiele widzi, ale pamięta go, jakby dopiero wczoraj szli do kościoła. Wciąż brzmia w niej jego słowa.

Układali wtedy żyto w stertę we dworce. Ona podawała, on brał na widy i układał równo, dokolaśka. Patrzył na nią z góry i uśmiechał się. Domyślała się raczej tego uśmiechu niż widziała, nie było czasu przyglądać się sobie. Pan rzadca poganiał, bo sła burza. Całe ciało piekło od potu i ostrych wąsów żyta, które dostawały się wszędzie. Było duszno i ludzie niecierpliwie czekali na deszcz, który

już gdzieś nad Łańcutem spływał ciemnymi smugami. Karbowy poganiał, pan rzadca wiercił się niespokojnie. Wszyscy uwijali się jak w ukropie. I lunęło nagle, jakby się chmura oberwała. Ludzie uciekli pod dach, a oni oboje zostali pod stertą. Józek ułożył snopy tak, że w środku mogła siedzieć, potem mokry, prychający wsunął się do niej. Zdjęła chustkę z głowy i wycierała jego opalony, muskularny tors. Bita od niego silna woń potu. Ta ostra woń była jej wtedy najmilsza. Siedział cicho przyciśnięty do jej boku. Czula, jak ogarnia ją gorąco, które od dołu obezwładnia i dreszczem podchodzi do gardła. Józek też drżał, tak jakofś dziwnie. I kiedy zdawało jej się, że już dłużej nie wytrzyma, że wyskoczy na ten deszcz, ażeby tylko nie czuć tego gorąca i niepokoju, Józek dotknął ręką jej włosów i powiedział to, czego już nigdy nie może zapomnieć, co słyszy zawsze, gdy patrzy na ich ślubną fotografię. Józek powiedział:

— Ładne masz włosy Helciu, takie... czarne iii... Będziesz moja Helciu, dobrze?

Trzydzieści lat czekała na takie słowa. Po ojcu dostała tylko na pół rozwałoną chatkę i dziesięć arów na stoku opadającym do jaru strumyka. Niedowidziała, unikała więc chłopców, a zresztą kto by

(Ciąg dalszy na str. 4)

Prof. dr Bogdan Suchodolski

NOWOCZESNOŚĆ JEST NIEPODZIELNA

Gdy mówimy o nowoczesności, mamy przede wszystkim na myśli to wszystko, co wiąże się z postępem technicznym, z nowymi materiałami i nowymi rodzajami energii, z nowymi konstrukcjami i narzędziami działania. Mówiąc o nowoczesności, mamy też na myśli nowe formy organizacji pracy w zakładach przemysłowych, w biurach, w administracji. Pod pojęciem tym rozumiemy również pewien styl indywidualnego życia, wyrażający się w innych niż tradycyjne sposobach zachowania i postępowania, w swobodnych upodobaniach w dziedzinie kultury, w nowych zainteresowaniach.

Czy istnieje związek między tymi różnymi procesami, w których uczestniczący się nowoczesność? Pytanie to ważne i trudne. Wymaga jednak odpowiedzi, ponieważ od niej zależy racjonalna taktyka działania, mobilizująca ludzi na rzecz nowoczesności. Otóż wszystko, co wiemy o procesach historycznego rozwoju określonych typów życia i o procesach tych zjawisk.

Mądre maszyny potrzebują mądrzejszych ludzi

Widać to najjaśniej w zakresie pracy. Nowym wymaganiom w zakresie pracy ludzkiej, wyznaczanym i kształtowanym przez nowoczesny postęp techniczny, mogą sprostać jedynie ci, którzy w sposób bardziej wszechstronny będą należeć do nowoczesnej cywilizacji. Nowoczesna praca nie jest bowiem zespołem prostych czynności, których można by się wyuczyć, lecz jest procesem bardzo złożonym i różnorodnym wysiłków, wymaga coraz większego zaangażowania się ludzi w to co robią. Nowoczesna praca nie jest „poza człowiekiem”, jako w pewnym sensie „zewnątrzny” proces jego czynności rzeczowo ukształtowany. Nowoczesna praca jest „w człowieku” jako jego rzeczywiste działanie, jako wyraz jego osobowości.

Podniesienie pracy człowieka na poziom wymagany przez nowoczesną technikę wymaga nie tylko pamieciowego i manualnego przyswojenia sobie dyrektyw informacji techniczno-zawodowej w danym zakresie. Wymaga równocześnie znaczącego pogłębienia wykształcenia naukowego. Granice techniki i nauki ulegają bowiem dziś zatarciu; nauka rozwija się dzięki technice, technika rozwija się dzięki nauce. Pracownik, który ma naprawdę opanować nowoczesną technikę pracy, musi opanować jej naukowe podstawy. Ale opanować te podstawy, to znaczy nie tylko zdobyć pewien zasób wiedzy. Znacząco to przede wszystkim — zyskać naukową kulturę umysłu, dzięki której nauka staje się żywą i twórczą siłą w człowieku, dzięki której potrafi on uczest-

niczyć w jej rozwoju i postępie. Mądre maszyny potrzebują coraz mądrzejszych ludzi.

Zależność od innych i innych uzależnień

Możemy pójść jeszcze krok dalej w tej analizie. Nowoczesna praca wymaga nie tylko aktywnego uczestniczenia w postępie techniki i nauki. Wymaga ona również rozwoju tych bardzo różnych kwalifikacji, które wiąże się z organizacją i planowaniem współdziałania w pracy. Organizacja i planowanie współdziałania w pracy przestaje być zadaniem nielicznej grupy specjalistów, staje się elementem powszechnego dnia coraz większej liczby pracujących ludzi. W nowoczesnych zakładach pracy organizacja współdziałania i typ stosunków międzyludzkich mają rozstrzygające znaczenie w zakresie wydajności i jakości pracy. Prawdziwie nowoczesny pracownik musi być nie tylko odpowiednio wykształcony i sprawny. Powinien on umieć włączyć się w atmosferę zespołowego wysiłku, umieć współdziałać w różnorodnych czynnościach, zależeć od innych i uzależniać innych od siebie w sposób najbardziej racjonalny i humanistyczny.

Dlaczego człowiek chce dobrze pracować?

Ale sprawa ma jeszcze głębsze wymiary. Dostrzegamy je, stawiając zagadnienie motywów kierujących postępowaniem ludzi. W zakresie, który tu nas interesuje, problem ten wyraża się w pytaniu: dlaczego człowiek chce pracować i dlaczego chce pracować lepiej? W odpowiedzi na to pytanie można oczywiście wskazać na zysk materialny i jego wzrost; ludzie chcą pracować i chcą pracować lepiej, aby zarabiać więcej.

Ale właśnie w nowoczesnej cywilizacji materialne bodźce w pracy już nie wystarczają. Praca ludzi stała się tak skomplikowana i wymaga od nich tak wielkiego zaangażowania się osobistego, iż uruchamianie muszą być bodźce pozamaterialne. Nie byłoby przesadą, gdyby powiedzieć, iż człowiek, który pracuje wyłącznie „dla zarobku”, nie jest prawdziwie nowoczesnym człowiekiem. Należy on do tej mijającej epoki, w której praca była dla milionów ludzi ciężarem wywłaszczającym ich z człowieczeństwa i była jedynie środkiem do zdobycia niezbędnych środków utrzymania. Człowiek prawdziwie nowoczesny, uzyskując ze swej pracy odpowiednią zarobki, odnajduje w tej pracy teren swego zainteresowania i zaangażowania, swej pasji poznawczej i konstruktywistycznej, swych ambicji.

Z tych względów tak trudno jest zaszczepić nowoczesność w warun-

kach życia, skłaniających ku konserwatyzmowi. W krajach Afryki i Azji, w których przez organizację oświaty i przemysłu próbuje się osiągnąć postęp społeczny i gospodarczy, cała tradycyjna kultura obyczajowo-umysłowa staje się hamulcem i przeszkodą. I niekiedy zadaniem ważniejszym niż przekazanie określonej wiedzy zawodowej staje się zwalczanie tradycyjnych wyobrażeń i przesądów, tradycyjnych motywów postępowania, tradycyjnego „stylu życia”, pozostających w sprzeczności z charakterem nowoczesnej pracy przemysłowej.

Podobne zjawiska możemy obserwować i w tych krajach Europy, w których młodzież, wychowana w konserwatywnych warunkach obyczajowych, przechodzi do miast i podejmuje pracę w zakładach przemysłowych. Często wówczas nie potrafi w ten nowy sposób żyć i pracować, chociaż ukończyła szkołę zawodową i wie, jak należy to czynić. Jednak — mimo tej wiedzy — nie potrafi przeorganizować całego swego życia, całej postawy, całego stylu „bycia”. Te trudności pokazują najlepiej, jak bardzo zintegrowanym — a nie odcinkowym — zjawiskiem jest nowoczesność.

Nauce i technice — bliska nowoczesna sztuka

I wreszcie — sztuka. I ona wchodzi w skład tego zintegrowanego pojęcia nowoczesności, które tu analizujemy. Nowoczesność ma dzięki nauce i technice swój styl swoisty i swoisty rytm życia. Przez architekturę, wykorzystującą nowe materiały, przez urbanistykę, kształtującą w nowy sposób przestrzeń ludzkiego mieszkania i działania, przez kształt, wytworów przemysłowych różnego rodzaju — nauka i technika formują bezpośrednio estetyczne środowisko ludzkiego życia. Kino i telewizja stwarzają — w skali masowej — zupełnie nową i powszednią rzeczywistość sztuki w społeczeństwie. Malarstwo odnajduje coraz lepsze drogi dojścia do szerokiego mas, a krąg odbiorców muzyki — nie tylko tzw. lekkiej, ale i poważnej — staje się coraz większy.

Uczestniczenie ludzi w tym świecie sztuki rozwija w nich wiele tych właściwości, które są szczególnie cenne w nowoczesnej cywilizacji. Rozwija i kształci życie uczuciowe, które w zracjonalizowanych formach zawodowego działania nie znajduje dla siebie ujścia, a jest podstawowo ważne dla wszechstronnej motywacji działań ludzkich. Rozwija i kształci wyobraźnię, która pozwala oderwać się od ciasnych

ram tego co jest, na rzecz możliwości stwarzania nowych form życia. Rozwija i kształci zdolność zrozumienia innych ludzi, bliskich i dalekich, możliwość kształtowania atmosfery wspólnoty i współżycia.

Nie mógłby być człowiekiem prawdziwie nowoczesnym ten, kto wyłączałby swe życie z tego świata sztuki, powiązanego tak ściśle z nauką i techniką, z urbanizacją i industrializacją, z przemianami społecznymi i rozwojem środków masowej komunikacji. Od nowoczesnej pracy technicznej prowadzi droga nowoczesnej sztuki, a nowoczesna sztuka bliska jest technice i nauce.

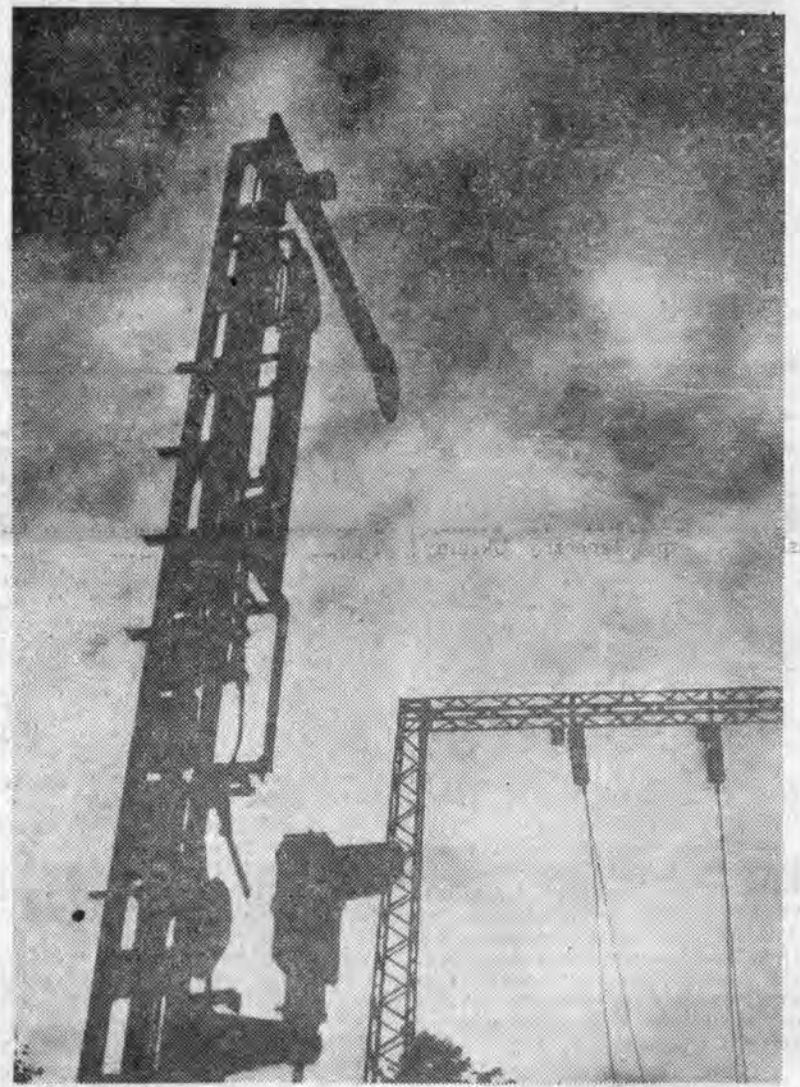
Nowoczesność jest w nas

Jak wynika z tych rozważań, mylimy się sądząc, że nowoczesność to tylko sprawa produkcji określonych towarów i sprawa konsumpcji. I mylimy się sądząc, że problematyka nowoczesności może być wyczerpana przez analizy podejmowane z punktu widzenia ekonomii i organizacji pracy.

Nowoczesność — jak staraliśmy się pokazać — nie jest wyłącznie „wokół” człowieka. Jest w nim samym lub przestaje istnieć w ogóle. Ale będąc w nim samym, ogarnia

go całego szeroką falą — ogarnia jego umysł, jego uczucia, jego wyobraźnię, jego postawę, motywy jego działań. Nowoczesność jest właśnie dlatego niepodzielna, że nie może trwać i rozwijać się poza ludźmi, właśnie dlatego, że nowoczesność — to nowoczesni ludzie.

A nowoczesny człowiek to ten, który nie mógłby w sposób trwały żyć i działać na różnych terenach w różny sposób. Sprzeczne style istnienia, sprzeczne „sposoby bycia” prowadzą — wcześniej lub później — do dezintegracji osobowości i klęski. Jest oczywiste, iż w epoce tak nowej jak nasza, w której ostają się konserwatywne nawyki i upodobania przeciwstawne nowym i dynamicznym, zachodzi w ludziach — niekiedy bardzo ostra — walka tego co nowe z tym co stare. Ale te konflikty właśnie świadczą najwyraźniej o tym, iż nowoczesność nie jest czymś „odcinkowym” w życiu ludzi, lecz okazuje się siłą zmagającą do opanowania ich całych, do powiązania całego ich życia z tym, co jest i twórczym nurtem historii. W tym powiązaniu stwarzana zostaje nowa i odkrywca interpretacja tradycji, odkrywane nowe i pobudzające perspektywy przyszłości. W tym powiązaniu niepodzielność nowoczesności okazuje się niepodzielnością życia ludzi, którzy tworzą nowe formy swej cywilizacji.



FOT. J. WITOWICZ

(Ciąg dalszy ze str. 3)

chciał brać taką biedotę. Pracowała we dworze, jak jej ojciec i matka. Coraz bardziej stroniła od ludzi. Zapierała drzwi w wieczora i długo modliła się przed obrazem Matki Najświętszej. Chciała pójść do klasztoru, ale ksiądz proboszcz jej odradził, bo nie starczyłoby na wyprawę i była niepiśmienna. Nie wiedziała o tym, że jest zgrabna, bo nigdy nie patrzyła na swoje ciało, nie wiedziała, że ma ładne włosy, bo zawsze nosiła chustkę. Lustra unikała, bo bała się własnych oczu, które coraz gorzej widziały. Czasem słysząc szepty par w krzakach nad strumykiem lub głośniejszy chichot dziewcząt ścisłanych przez chłopaków dostawała w piekło, serce biło szybciej, ogarniał ją niepokój i jakiś żal oraz zazdrość. Modliła się wtedy jeszcze bardziej żarliwie, by odpędzić grzeszne pokusy, częściej chodziła do spowiedzi i komuni, wyznaczała sobie post za radą proboszcza.

Mijały lata podobne do siebie jak paciorki różańca. Pogodziła się z losem i żyła z dnia na dzień bez widoków na zmianę. Bo i na co mogła liczyć? Wszystkie myśli o mężu, dzieciach, własnym gospodarstwie gnała od siebie precz, choć gdzieś w głębi poczuła krzywdę. Dobrodziej, gdy nieskładnie spowiadała się z tych swoich grzesznych myśli, mówił jej zaw-

sze — „pogódź się z wolą boską, a zyskasz niebo”. Godziła się wienią z wolą boską, ale jednego marzenia nijak nie umiała się wyzbyc. Bała się je wyrazić głośno w modlitwie by nie obrazić Boga, ale skrycie tkwiło w niej i z latami rosło, zajmując pierwsze miejsce po Bogu. Pragnęła mieć krowę. Liczyła odkładane pieniądze i wciąż było ich za mało.

Pewnego dnia ujrzała Józka, a właściwie usłyszała. Miał wesoły głos i chętnie wykonywał każdą robotę. Sama słyszała, jak pan rzadca podziwiał go, że taki silny. Józek coraz częściej pracował tam, gdzie ona. Z początku nie zwracała na niego uwagi, ale potem, gdy spostrzegła, że wyraźnie nią się interesuje chciała uciec, ukryć się przed jego śmiechem. Ale nie miała dość siły. Coś jej nie dało. Nie poszła do spowiedzi. Bała się. Drzwi do swojej chaty zamykała teraz na noc jeszcze wcześniej i dokładniej, ale gdy kłękła przed obrazem nie mogła się modlić, jak przedtem. Nie wiedziała o co się modlić. Czuli, że przesyła myślą, bała się zgrzeszyć mową, a uczynkiem... Matko Przenajświętsza ratuj!

A potem były te żniwa i ta bu-
rza, i te słowa józkowe — będziesz moja Helciu, dobrze?

— Dobrze — wyszeptwała zaniem cokolwiek zdążyła pomyśleć, zanim

pojęła co mówił Józek i co znaczy to słowo, które wyskoczyło z niej samo, jakby siedziało ukryte i czekające na taką chwilę. Pociemniało



w oczach od tego słowa i nie wiedziała co się stanie, co teraz będzie.

Wszystkie dni potem... jak sen, wszystkie noce, jakby światło dnia chowało się do ich chaty. Pracowali dalej we dworze, bo Józek nie miał ani tyle co Helka, ale teraz widzie-

li cel tej harówki. Teraz mieli siebie i swój dom. Od tego domu zaczęli budować wspólne gospodarstwo. Wszystkie pieniądze z pożyczki oddała Helka na materiał. Cieliczka będzie potem. Trzeba najpierw postawić nową chatę, a wszystko inne później. Pomagali Józkowi w tym budowaniu tacy sami biedacy jak on. Stara, rozwalająca się chatę zmieniała się w oczach. Do zimy była gotowa jak nowa. Józek pamiętał o marzeniu Helki. Prawie połowę chaty wyrychtował na oborę. Złożył nawet żłób i drabinę. Helka stawała u progu, słuchała stukotu Józkowego młotka i już wyobrażała sobie jaką będzie ta krowa. Ale skąd wziąć na nią?

Przeszła wiosna i już miało się ku żniwom, gdy Józka wezwał pan rzadca do siebie. Wrócił ze dwora wesoły i od proga woła:

— Będziesz miała Helciu cieliczkę, a może i krowę. Pan rzadca chce mnie nająć do buhaja. Stary Kuźniar już nie da rady, bo nowy byk, jak smok. Będzie stała robotą i dobrze zapłacę.

Coś ją tknęło, jakiś strach w serce uderzył. Ale na nic zdało się tłumaczenie. Postawił na swoim. I zaraz, pierwszego dnia...

— Jak go zobaczyła, nie wstrzymała. Wszystko się w niej wywróciło od tego widoku...

— Jednym wozem ich przywieźli ze dwora. Takim od gnoju. On... był cały polamany. Żywe mięso i krew... Z niej też krew leciała. Ta krew mogła poplamieć lepszy wóz.

— Pytali ją co chce... za Józka... ale za to co poroniła nie pytali. Temu nikt nie był winien.

— Powiedziała, tak, powiedziała... choć nie chciała niczego, bo co można było chcieć? Co jej wtedy było potrzebne prócz śmierci? A jednak powiedziała... Bo to było, gdzieś w niej tak silnie zakorzenione, bo przez to pragnienie wszystko się stało. Może Pan Bóg ją pokarał za to pragnienie? Kiedy pytali, to pomyślała, że kara boska już większa nie będzie, a więc niech dadzą krowę. Tak powiedziała. Krowę.

Pan rzadca skrzywił się, ale dał. Po co ci krowa — powiedziała — przecież nawet dziecko już miał nie będziesz.

Nic na to nie odpowiadała, tylko wszystko w niej jeszcze raz się wywróciło jak wtedy... Nic nie odpowiadała, ale z całej duszy życzyła panu rzadcy nagłej śmierci, nagłej śmierci dla niego, dla pani dziecizki, nagłej a niespodziewanej śmierci na cały ten świat. Ognia, ognia na te stajnie, obory, stodoły, niech to wszystko spali, pochłonie, niech tu kamień na kamieniu nie zostanie. Za Józka, za to niedonoszone, za to, że już nigdy... nic...

Na marginesie artystycznego wydarzenia

Przed tygodniem, w bajecznie pięknej bazylice leżajskiej odbył się pierwszy publiczny koncert organowy. O godz. 17.15 zabytkową bazylikę wypełniła muzyka dawnych mistrzów, głównie niemieckich, Bux-Lechudego, Bacha i innych, w znakomitej interpretacji prof. Józefa Chwedeckiego, zasłużonego krzewiciela muzyki organowej, nie tylko w Polsce. Równocześnie dyskretnie podświetlone wnętrza ukazały swe ogromne bogactwo rzeźb, malowideł, złocen i piękna architektury. Niezapomniane ramy dla tej muzyki!

Nie będę tu recenzował recitalu. Mistrzostwo i wirtuozeria prof. Chwedeckiego mają ustaloną renomę. W tym miejscu dodam tylko, że program inauguracyjnego występu — piękny, był zapewne dla nieosłuchanego uczestnika chyba zbyt trudny. Rozumiem jednak intencję takiego układu, uroczą i wzruszającą w swym założeniu; były to bowiem dzieła (prócz utworów Cezarego Francka) rówieśników — jeżeli tak można powiedzieć — siedziwych organów. Siedziwych, bo zbudowanych w latach 1680—82.

Nurtują mnie inne sprawy, bezspornie związane jednak z tym wydarzeniem. Recital otrzymał numerację jako koncert nr 1. I co dalej? To pytanie nurtuje tak miłośników piękna, jak i samej muzyki. Wszystkie ośrodki kraju, posiadające zabytkowe organy i organy, jak Leżajsk, wymienić chociażby Frombork, Oliwę, Wrocław, Kamień Pomorski itd., starają się udostępnić je jak najczęściej i jak najliczniejszemu słuchaczom. Tymczasem o organach w Leżajsku słychać jeno w

Polsce? Nie słychać ich samych natomiast. Milczenie pięknego instrumentu zostało przerwane! I za to inicjatorowi — Leżajskiemu Oddziałowi Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego chwała i wdzięczność!

Drugi ułkon należy się za zaangażowanie wyłącznie dla zwiedzających bazylikę organisty w osobie popularnego rzeszowianina Tomasza Czapl, który będzie demonstrował brzmienie XVII-wiecznego instrumentu, dzieła polskiego budowniczo organów Jana Głowińskiego z Krakowa. To już coś!

Ale chyba teraz, gdy już odezwały się organy, instytucje powołane do organizacji życia artystycznego i kulturalnego włączają do swego planu działania koncerty w Leżajsku. Za koniecznością przyjęcia co najmniej współorganizacji tych imprez przez fachowców świadczy wiele. Głównie idzie o to, by tę piękną, choć trudną muzykę w jak najlepszy sposób zbliżyć do słuchaczy. Piszę to nie w formie zarzutu pod adresem PTTK. Zrobiło ono

co było w jego mocy, by koncert był pełen najsłuchetniejszego blasku, tylko z myślą o następnych imprezach.

Koncerty leżajskie w najbliższych kilku latach — wydaje mi się — winny być związane z żywym słowem — poezją, lub co najmniej solistycznym śpiewem (wspominam o solistach, a nie o większych zespołach, gdyż biorę pod uwagę koszt organizacji występu). Te „przerwy” nie tylko uatrakcyjniłyby, lecz również ułatwiłyby przyswojenie dzieł organowych.

No i konieczne są drukowane programy, ze szczegółowym omówieniem utworów, epoki, twórców. Podanie chociaż z wdziękiem kilku encyklopedycznych danych, to zbyt mało.

Chyba tylko w ten sposób koncerty leżajskie spełnią rolę zbliżenia trudnej muzyki do współczesnego odbiorcy w szerokim znaczeniu, a prawdziwe przeżycia artystyczne będą udziałem wszystkich.

GAMA

„RZESZÓW MA SZCZĘŚCIE”

Jako członek Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych na zlecenie Zarządu Głównego tegoż Towarzystwa podjąłem się napisania krótkiego informatora, wydanego w serii „Okolice Schronisk Młodzieżowych” pod redakcją Mariana Sobanńskiego, naczelnego redaktora popularnego pisma krajoznawczego „Poznaj swój kraj”.

W informatorze tym podaje krótkie wiadomości dla młodzieży zwiedzającej nasze miasto i trudno w nim szukać szerokiego opisu. Ponieważ redakcja „Widnokragu” w nr 36 z dnia 3 września 1967 r. zamieściła na temat informatora uwagi doc. Franciszka Kotuła, pragnę sprostować zawarte tam nieścisłości.

O tym, że ratusz w Rzeszowie w budowany został w XVI w. pisze znany historyk pochodzący z Rzeszowa prof. dr Adam Przybóś w pracy swojej umieszczonej w książce pt. „Pięć wieków Rzeszowa XIV—XVIII” wydanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe pod redakcją dr Franciszka Błonskiego — Warszawa 1958 r. Na stronie 137 czytamy „Drużę „świecką” budował, którą Rzeszów zawdzięcza Ligęzie był nowy ratusz rzeszowski zbudowany jeszcze przed 1591 rokiem”. A więc to chyba jeszcze XVI w. Za podanie źródła które mówi o budowie ratusza w XVII w. byłbym autorowi notatki bardzo wdzięczny.

Nie wiem o co chodzi autorowi przy zamku Lubomirskich. (To „tak się tylko uтарыło”). Ja podaję krótko, jak

należy czynić w informatorze, że zamek pochodzi z XVII w. opisuje jego wygląd, nie analizuje kto i jakimi partiami go budował.

Jeżeli chodzi o Czudec i istniejące w nim drewniane domki podcieniowe to oparłem się na pracy prof. dr Józefa Burszty pt. „Zabudowania miasta Radymna w połowie XVIII w.” zamieszczonej w 2 zeszytach „Rocznika województwa rzeszowskiego” — Rzeszów 1958 r., gdzie prof. Burszta na str. 48 zamieszcza ilustrację domów z Czudca, a pod nią taki napis: „Czudec pow. Rzeszów 1952. Domy w rynku z I poł. XIX w. w pewnym stopniu zmodernizowane, stopy podcieni usunięto w okresie międzywojennym”. — Fotografował Franciszek Kotuła.

Czy ratusz w Głogowie stoi na środku Rynku o tym łatwo się przekonać zwiedzając to miasto. Zachodzi też pytanie, w którym miejscu wyczytał autor notatki, że strzelnicę w lasach głogowskich usytuował na północ od Głogowa, piszę bowiem „Wokół duże polacie lasów... W lasach tych Polski Związek Łowiecki posiada strzelnicę”. Nie wiem dlaczego autor notatki szuka strzelnicy na północ od Głogowa i w dodatku na górach!

Do poczynionych wyjaśnień dodaje, że przedmiotowy Informator, jak również cytowane przeze mnie publikacje dostępne są dla zainteresowanych w Bibliotece Naukowej w Muzeum w Rzeszowie.

BRONISŁAW CMEŁA

U naszych przyjaciół

ZSRR

Ostatnio przebywał we Francji zasłużony zespół taneczny Ukrainy „Jatrań”. Występy artystów ukraińskich spotkały się z gorącym przyjęciem publiczności francuskiej. Prasa francuska na czołowych miejscach podała wiadomość o pobycie zespołu ukraińskiego i stwierdziła, że zespół cechuje „rytm, lekkość, młodość i mistrzowskie wykonanie”. Mer miasta St. Etienne zwracając się do zespołu powiedział: „Przynieśliście bogatą młodość, bogatą świeżość”.

Znaną sztuką W. Sobko „Dalekie okna” otworzył w Kijowie nowy sezon teatralny Akademicki Rosyjski Teatr Dramatyczny im. Lesi Ukrainki. Podobnie jak i wszystkie teatry ZSRR przygotował on bogaty repertuar z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej. Wystawiona będzie m. in. znana sztuka B. Ławreniewa „Razłowa”.

BULGARIA

Z okazji 50 rocznicy Wielkiego Października artyści bułgarscy przygotowują wielką wystawę poświęconą tej rocznicy. Tradycyjna przyjaźń bułgarskiego i rosyjskiego narodu, wspólnota celów i zadań sztuki to podstawowe zasady, na których się opiera i umacnia przyjaźnielska i braterska współpraca bułgarskich i radzieckich artystów. Związek Artystów Bułgarii prowadzi ożywioną wymianę ze Związkiem Artystów ZSRR. Ostatnio do ZSRR udali się znani artyści Bułgarii — zasłużony artysta — rzeźbiarz prof. Lubomir Dalczew, grafik — risto Nejkow i malarz Iwan Stoilow-Bunkera.

WĘGRY

W Budapeszcie odbywało się seminarium poświęcone wybitnemu kompozytorowi B. Bartokowi. Na kursach, które organizowane były w czasie seminarium, słuchacze pod kierunkiem wybitnych węgierskich i zagranicznych wykonawców zapoznali się z najlepszymi utworami Beli Bartoka.

JUGOSŁAWIA

W macedońskim mieście Struga zakończył się festiwal pod nazwą „Wieczór poezji w Strudze”. W festiwalu brało udział około stu poetów i krytyków literackich z 13 krajów i 3 kontynentów. W czasie trwania festiwalu odbyło się tradycyjne spotkanie współczesnej poezji w świecie oraz seminarium „Poezja i przyszłość”.

Opr. Henryk Róg



Maciej Patkowski: PODCHORĄŻACKA MŁOŚĆ. MON, s. 157, cena 8 zł.

On, kapitan samolotu pasażerskiego PLL spotyka po kilku latach Ją, swą podchorążacką miłość, dziś mętką stale mieszkającą z mężem za granicą. To spotkanie jest tylko pretekstem do przeżycia raz jeszcze dawnej miłości, która tak do końca to chyba nie wygasła. Ciekawe tło społeczno-obywatelskie. A i styl niezły.

Jan Paček: DZIEWCZYNA Z KLASZTORU. KIW, s. 281, cena 20 zł.

Jest to zbeletyzowany dziennik dyrektora jednej z podwarszawskich szkół średnich, przejętej po siostrach zakonnych. O trudnościach wychowawczych, konfliktach wynikających z nowej dla obu stron (wychowawców i uczennic) sytuacji życiowej. Przepłatanie fragmentami z pamiętnika uczennicy. Ciekawe.

Maria Pruszkowska: ŻYCIE NIE JEST ROMANSEM. Wyd. Morskie, s. 187, cena 15 zł.

Nie jest to debiut, ale kontynuacja losów bohaterów z powieści „Przyśię panu list i klucz”. Ta wojenna historia życia inteligentkiej rodziny warszawskiej nie jest obrazem okupacji w Polsce jest raczej zbiorem fragmentów przeżyć napisanym z humorem i niewątpliwym talentem narracyjnym.

Alojzy Sroga: ADAM. Wyd. Morskie, s. 206, cena 12 zł.

Jest to już osiemnasta z kolei pozycja tego autora, wielokrotnie nagradzanego dziennikarza. Tematem — awans wiejskiego chłopca, jako skutek przemian po II wojnie światowej. Awans specyficzny. Syn rolnika jest dalej rolnikiem, ale jeżdżącym własną ołowią. Ciekawe ujęcie tematu wiejskiego.

Tomasz di Lampedusa: LAMPART. Wyd. III. PIW, s. 320, cena 20 zł. Tłum. Z. Ernstowa.

W dużym (30 000) nakładzie bestseller włoski, nawiasem mówiąc jedyna i to wydana pośmiertnie książka tego autora. Akcja „Lamparta” rozgrywa się w latach 1860—1862, a jej bohaterem jest książę Fabrizio Salina. Treścią bezsporny upadek świata feudalnego. Nie jest to lektura zbyt łatwa, ale warto przeczytać.

Werner Helwig: NIEUGIĘCI. Tłum. S. Błaut. PIW, s. 163, cena 12 zł.

Niemiecki autor starszego pokolenia poświęcił się literaturze, muzyce i studiom etnograficznym. Jest miłośnikiem Grecji, stąd temat jego książki. Akcja jej rozgrywa się bowiem we współczesnej Helladzie, a tematem są przygody gromadki Greków, którzy ukryli się przed pacyfikacją w starym klasztorze. Dobra proza.

Józef Olszewski: NIEPOKÓJ ZIEMI. Iskry, s. 43, cena 10 zł.

Debiut poetycki 36-letniego chemika i wykładowcy, uprawiającego grafikę. Liryka.

Joanna Kulmowa: JONASZ, CZYLI MIARKA EPOKI. Iskry, s. 98, cena 20 zł. „Jakże tu pisać o sobie, skoro przeskądza mi skrajna nieznajomość przedmiotu?”

Na szczęście wolno się mi postużyć sądami bliźnich. O mojej satyrze powiada, że to liryka. O liryce — że to satyra. Znajomi reżyserzy uważają mnie za pisarkę. Znajomi literaci zalecają wykonywanie wyuczonego zawodu aktorki!”

Lesław M. Bartelski: POWSTANIE WARSZAWSKIE. Iskry, s. 283, cena 25 zł.

Jest to drugie uzupełnione wydanie opowieści o walkach w Warszawie w sierpniu i wrześniu 1944 roku. Ilustracje i mapa.

Kusum Nair: KWIATY W PYLE. Tłum. K. Szerer. Iskry, s. 252, cena 12 zł.

To hinduska dziennikarka średniego pokolenia specjalizuje się w sprawach



Minione telewizyjne 7 dni zbiegły się z niespotykaną dokładnością z siedmioma dniami pobytu prezydenta de Gaulle'a w Polsce; tego pobytu, który z niebywałą precyzją, niemal godzina po godzinie telewizja polska przyswajała milionom widzów. Nie liczyłam co prawda godzin poświęconych tej niezwyklej wizycie wielkiego męża stanu, ale stanowiły one niemalą porcję programu, były intensywnie oczekiwane przez telesłuchaczy i były ewenementem na skalę światową.

Prezydenta de Gaulle'a znamy wszak z tego, że doceniał zawsze rolę macierzystej telewizji jako elementu szerokiej propagandy jego programu; w Polsce jego przyjazd dał asumpt do podobnej operatywności i telewizja nasza robiła co mogła, by jak najwierniej oddać przebieg jego pielgrzymki po kraju — jak sam to pięknie określił w poniedziałkowej transmisji przemówienia do narodu polskiego z Wilanowa. Słyszeliśmy nie tylko mądre i przyjazne słowa; słyszeliśmy kęs pięknej francuszczyzny, która stanowiła ucztę prawdziwą dla miłośników języka; francuszczyznę dźwięczną jak dzwon, czystą, pełną maestrii stylu, zdumiewającej precyzji sformułowań. I za tę francuską ucztę wilanowską, której nie zakłócały żadne brzęczenia, za wspólność mowy, która urzeka od wieków swym powabem rzesze Polaków — jakże nie podziękować publicznie sztabowi dziennikarsko-technicznemu warszawskiej tv?...

Reszta zaś „francuskiego” tygodnia pomyślana była z wielkim umiarem. Nie było przesytu i nie było też powodu do narzekań, że za mało programów, inspirowanych wydarzeniem politycznym. Począwszy od paru filmów pełnometrażowych, poprzez przegląd niedzielny starego kina Rene Clementa, aż do świetnego „Monitora”; od sentymentalnego chłopca ze zwierzakami dla najmłodszych po trudną poezję Apolli-

nnaire'a — wszyscy coś tam znaleźli dla siebie. Czy akurat właśnie to chcieli znaleźć — to już zupełnie inne zagadnienie, ale szczęśliwy traf sprawił, że nawet słynny cykl wczesnoniedzielny, lecący w Interwizji z Galerii Treliakowskiej przyniósł tym razem malarstwu właśnie bardzo francuskiego Hiszpana, czyli Pabla Picassa. Mieliśmy jeszcze turniej o Paryżu, gdzie nieco galimatiasowo potraktowano zasadniczą materię, mieszając tematy najtrudniejsze z dziecinnie łatwymi i gdzie laury zwycięstwa ozdobiły nader młodą i nader przystojną głowę Polaka — jedynego z uczestników co w Paryżu nie był, mieliśmy Lucjana Kydryńskiego w jego tradycyjnym „Przedstawiamy” z panią Michele Arnaud oraz młodymi adeptami jej studia, gdzie, z przykrością rzecz mi stwierdzić przychodzi, nie znalazłam nic ciekawego w prezentowanych piosenkach.

I tak jak sympatycznie, a nawet ze wzruszeniem wysłuchaliśmy wtorkowego George'a Brassensa końącego dzień francuski nieco frywolną balladą, ale jakże z ducha paryskiego skomponowaną, tak z niechęcią niemal ogłądało się szeregi bardzo młodych ludzi i bardzo niedojrzałych piosenkarsko jako namastek typowej chanson, znanej w świecie od dziesiątków lat. Myślę więc, że Kydryński przegapił szansę francuskiego wieczoru piosenek. Ze poszedł po linii najłatwiejszego szukania młodych twarzy, o których ani wiadomo cokolwiek, ani pewnie wiedzieć kiedykolwiek się będzie.

O wieczorze Apollinaire'a — poety wiele mi ulubionego, powiem, że też zastanawiał mnie wybór jego poezji. Dlaczego akurat te wiersze, które słyszeliśmy, dlaczego taka peł-mele tematyka — ani rusz zrozumieć nie potrafie. Piękny wybór samego nazwiska, które wszak z urodzenia najpierw było bardzo polskie — bo Apollinariusz Kostrowicki — obiecywał więcej smaków poetycko-narodowych. Później sam wiersz z różnych okoliczności wybrany, z tomika „Alkoholów” wcale nie najlepszy, podany przez trzy dobre nazwiska aktorskie i wsparty reżyserią Ludwika Renée — wcale mnie, niestety, nie zachwycił. Zbyt trudny bowiem, zbyt obojętny uczuciowo, oraz mało znany był ten Apollinaire! I w ten sposób przepadł nam wielki poeta francuski polskiego pochodzenia. Dzielnie mu w tym dopomogła także denerwująca maniera aktorska chodzenia ze smutnie pochyloną głową, roz-wlekania frazy w nieskończoność, uduchowienia gdzie trza i nie trza oraz przekonywania nas, że oni, aktorzy, rozpyliwą się w melancholii, liczeniu gwiazd, księżyców i takich tam rzeczy rzekomo poetycznych.

Dlatego wolę już rzetelną robotę przy corneille'owskim „Cydzie”, w starym, świetnym przekładzie Morsztyna, który co prawda powtórzono z telerecordingu (jak by nie można było nic przygotować nowego z przebogatej klasyki francuskiej), ale który jako robota aktorsko-reżyserka na toż powtórzenie zasługiwał.

Zważywszy, że honor, ojczyzna i wiele szczytnych słów, które cieszą serce każdego Polaka przy wizycie prezydenckiej padło — „Cyd” na tych nutach patriotycznych podany był znakomitym pendant do francuskiego tygodnia.

Co zaś nas dalej czeka — przekonamy się w następnych dniach siedmiu.

KRYSTYNA

Adam Sikora: SPOTKANIA Z FILOZOFIA. Iskry, s. 269, cena 20 zł. Nie jest to podręcznik filozofii, ale szkice poświęcone niektórym filozofom. Dla szkół i nauczycieli.

Jan Rosner: MIĘDZYKRAJOWA POLITYKA SPOŁECZNA. KIW, s. 368, cena 40 zł.

O Międzynarodowej Organizacji Pracy, jej historii, założeniach i działalności. Ale głównie o stosunkach w dziedzinie pracy.

Karol Świerczewski — „Walter”: W BOJACH O WOLNOŚĆ HISZPANII. Wyd. II. MON, s. 335, cena 35 zł. Słowo wstępne — Eugeniusz Szyr. Bibliografia.

Allardyce Nicoll: W ŚWIECIE ARLEKINA. Tłum. A. Dębicki. PIW, s. 198, cena 50 zł.

Studium o komedii dell'arte. Ciekawe ilustracje.

Maciej Bernhardt, Stefan Wiśniewski: SAMOCHODOWE SILNIKI SPALINOWE DZIS I JUTRO. MON, s. 196, cena 10 zł. Bibl. „Sowy”.

O silnikach w tokach obrotowych, problemie doprowadzenia silników, silnikach wielopaliwowych, turbospalnikowych i silnikach na gorące gazy.

Nowości CPARA: PROGRAMOWANIE I PLANOWANIE PRACY KULTURALNO-OSWIATOWEJ. Poradnik pracownika k-o. Zeszyt 6. s. 197, cena 30 zł.

TANCE NARODOWE W FORMIE TOWARZYSKIEJ. Do tego wkładka muzyczna (fortepian i akordeon). s. 124, cena 16 zł. Polonez, mazur.

SPOTKANIE O DWUDZIESTEJ. Słowa: U. Białecka. Muzyka i instr.: K. Sadowski.

ZGUBIONY ŚLAD. Słowa: A. Białusz. Muzyka i instr.: T. Prajzner. cena 5 zł.

„KIESZONKOWCE” pilnie poszukiwane

Poręczna, niedroga książka o wielkim nakładzie jest przedmiotem pilnie poszukiwanym przez księgarzy oraz szybko rozchwytywanym zarówno przez zorientowanych, jak i przygodnych nabywców. Serię „kieszonkowców” zapoczątkowało wydawnictwo „Iskier”; inicjatywę podjął PIW, a następnie „Książka i Wiedza”.

Jeszcze tej jesieni do końca br. ukaże się nakładem „Iskier” osiem książek kieszonkowych, w tym dwa wznowienia dawniejszych: Kosidowskiego „Opowieści biblijne” i Lemnis-Vitry „Książka kucharska dla zakochanych i samotnych”.

Prawdziwym prezentem dla melomanów i entuzjastów Waldorffa będzie kieszonkowe wydanie „Sekretów Polihymnii”; miłośnicy przygód i egzotyki otrzymają „Kon-Tiki” Heyderdala o wyprawie tratwą przez Pacyfik i głośną swego czasu powieść o egipskim lekarzu „El Hakim”. Dla lubiących silne wrażenia „Iskry” przygotowały opowieści z dreszczykiem — „Upiorny narzeczonny”.

Na przyszły rok „Iskry” zapowiadają dwadzieścia kilka kieszonkowców — m. in. J. Kamyczka „Grzechność na co dzień” — zmienione i poprawione wydanie *savoir-vivre*, poprawnego zachowania się w każdej sytuacji życiowej, dalej fantastyczną powieść S. Lema „Eden”, M. Kruegera popularną powieść dla dziewcząt „Godzina pasowej róży”, J. Meissnera „L — jak Lucy”, dalsze dzieje bohaterów „Żądla Genewy” oraz pełną humoru i wspomnień z lat dziecińczych S. Zielińskiego „Kiełbie we łbie”; następnie romantyczne przeżycia na tle egzotycznych wypraw i podróży „Twarze miłości” (zbiór wykładów kilku pisarzy) i wspomnienia radzieckiego dowódcy partyzantów P. Wierszyhory „O-

peracja San — Wisła”, z okresu wkroczenia na ziemię polskie. Amatorzy książek sensacyjno-spiegowskich będą mogli przeczytać Bronisławskiego „Niewidzialnych w tłumie” — książkę kieszonkową o pracy obcego wywiadu i losach jego ofiar — osób, które uciekły z Polski poszukując zawodowej kariery i fortuny na Zachodzie.

W najmniejszej serii kieszonkowej PIW, rozpoczętej przez „Marysięnkę” Boy’a-Zeleńskiego, ukażą się jeszcze w tym roku: „Mickiewicz” M. Jastruna, „Grek szuka Greczynki” Friedricha Duerrenmatta, głośnego szwajcarskiego dramaturga, autora „Wizyty starszej pani” oraz Johana Huizingi „Jesień średniowiecza”.

Wydawnictwo „Książka i Wiedza” planuje wydawanie szkolnych lektur obowiązkowych i zaleconych w postaci kieszonkowców, nieco większych od formatu kalendarzyków kieszonkowych. Seria ta, pod nazwą „Koliber”, opatrzona znakiem firmowym i wizerunkiem kolibra, będzie wydawana w nakładzie do 100 000 egzemplarzy, po 4 złote. „Ko libry” będą sprzedawane — podobnie jak inne kieszonkowce — w kioskach „Ruchu”.

W pierwszym rzędzie ukażą się opowiadania Dąbrowskiej „Iwaszkiewicza, Nałkowskiej, a z klasyków: Sienkiewicza i Żeromskiego. Z przekładów utwory Dickens, Maupassanta, Shawa, Turgieniewa, Gogola, T. Manna, Hemingwaya, Faulknera i innych.

Wydawnictwo to ma zaspokoić w znacznym stopniu dający się od dawna odczuć brak lektur szkolnych, na które młodzież urządza dosłowne polowania nie tylko w księgarniach, bibliotekach i czytelniach, ale również po domach prywatnych, bliższych i dalszych znajomych.

Szanowna Redakcjo!

W artykule Jerzego Walawskiego „Lekcja mądrej przygody” („Widnokrąg” nr 37) są umieszczone dwie nieścisłe informacje. Po pierwsze, autor pisze m. in. „ani studia nauczycielskie nie przygotowują wykładowców tej specjalności” (wychowanie obywatelskie).

Otóż właśnie studia nauczycielskie przygotowują równocześnie specjalistów do nauczania historii i wychowania obywatelskiego. Szkoda tylko, że w SN-ie w Przemysłu odbywa się co drugi rok rekrutacja na ten Wydział, mimo że odczuwa się brak nauczycieli do nauczania wychowania obywatelskiego.

Po drugie w województwie rzeszowskim trzeba będzie zatrudnić w bieżącym roku szkolnym 150 niekwalifikowanych nauczycieli po liceach ogólnokształcących, a nie po liceach pedagogicznych, jak pisze autor.

Osobiście uważam, że uwagi redaktora Walawskiego są słuszne i pomogą wielu nauczycielom uczącym tego pięknego, ale zarazem trudnego przedmiotu.

Łącząc pozdrowienia

mgr Adam Rząsa



ADOLF GUBERNAT — z-ca dyrektora III Liceum Ogólnokształcącego w Rzeszowie

Zjazd pisarzy Ziemi Zachodnich

W dniach 22—24 września odbędzie się w Szczecinie X Jubileuszowy Zjazd Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych. Stolica Pomorza Zachodniego gościć będzie ludzi pióra Ziemi Zachodnich i Północnych Polski już po raz drugi, co jest nie małym wyróżnieniem dla szczecińskiego środowiska pisarskiego.

Obrady Zjazdu — podsumowujące dorobek pisarski tych ziem w ostatnich latach — toczyć się będą w salach zamku książąt pomorskich. Weźmie w nich udział ok. 200 literatów z Gdańska, Olsztyna, Bydgoszczy, Poznania, Wrocławia, Katowic, Opola, Koszalina, Zielonej Góry i Szczecina. Program przewiduje 4 referaty poruszające ak-

tualne problemy twórczości i środowiska literackiego. Zaplanowano również spotkanie ludzi pióra z młodzieżą, wyjazdy na tereny walk z naporem germańskim — do Cedyni i Siekierki, a także wielki kiermasz książki.

Młode środowisko literackie Szczecina przygotowuje się do Zjazdu szczególnie starannie. Zjazd połączony jest bowiem z jubileuszem 20-lecia tego środowiska i 15-lecia pracy oddziału ZLP. Dorobek Szczecina — to ok. 110 tytułów książek w łącznym nakładzie ponad miliona egzemplarzy. Kilkanaście tytułów ukazało się w przekładzie na języki obce.

(Kł-PAP)

Opowieść folklorystyczna

Jak Świerka spotkało szczęście

W jednej wsi siedział chłop, nazywał się Świerk. W chałupie na niedostatek nie było długi czas rady; z mendlem dzieci też miał skleros. A Świerk chciał być w życiu czymś,

strasznie mu się podobało doktorstwo. Tak co tu w tym razie robić? Na ugorze popod lasem wypadł latoś nieźle byczki. Udało się na jarmarku sprzedać nie najgorzej oba. Kiedy sprzedał, wpadł na pomysł: nakupeń doktorskich łachów, różnych szkiełek, zwierciadełek i przyrządów i z tym wszystkim ogłosił się jako wszechwiedzący doktor.

Kiedy się nim opowiedział, chłopci pokazywali na mózg, robili na czołach kółka. Ale chorzał pan we dworze na reumatyzm. Ten, gdy się zwiędził o Świerka, posłał lokaja po niego. Tu Świerk musiał przełamać brak zaufania i wkroczył się w łaski pańskie. Pan mu przecież z miejsca nie dowierzał i poddał go takiej próbie: wyłożył na stół przed nim pod talerzem małego kawałka lasu świerczka i pyta wszechwiedzący, co też pod skorupą ukrył? Chłop się przeląkł i zawołał:

— Świerczku, jakże cię stapałi! Już po tobie!

Pan myślał, że doktor zgadł i po swoim egzaminie poddał go badaniu pani. A tej kłósk ukradł pamiątkowy sygnet. Tak ta żąda, by konsyliarz wydał sprawę. Świerk tak jak w pańskim badaniu — cóż mógł wiedzieć. Tak poprosił trzy dni czasu do namysłu. Więc pan dał mu osobny pokój gościnny i na wymysł wyraził, czemu nie, zgodę.

Siedział Świerk w pięknym pokoju w pierwszy dzień i myśli, aż do obłędu i nic nie może wymyślić. Kiedy lokaj wniósł jedzenie, wykrzyknął uradowany:

— Ten jest pierwszy. A jutro się znajdzie drugi, a po jutrze będzie trzeci! (A miał na uwadze obłęd). Lokaj struchlał i gdy obstużył doktora, zaraz poszedł do współników i powiedział, że nie ma co przed nim skrywać, bo będzie niemały kłopot. Jak się do złego spiknęli, tak trza się za uchem skrobnąć, żeby bieda jakoś przeszła.

Cicho, kiedy już dwór spał, tak jak we trójkę ukradli, przyszli Świerka ładnie prosić, żeby panu ani pani ich kradzieży nie wyjawili, bo chcą żyć — i tak kręcili gitarę, jak się w takich razach kręci. Wszechwiedzący

Zdarzenia tygodnia

7 bm. w Teatrze im. W. Sienkiewicza odbyła się premiera wisielczej komedii Janusza Krasińskiego „Czapa”, czyli śmierć na rąk.

Akcja tej doskonałej w swoim typie komedii rozgrywa się w celi więziennej, gdzie dwóch skazańców usiłuje przedżyć sobie życie, wynajdując nowe zbrodnie, aby w ten sposób wpłynąć na dalsze śledztwo i kolejny proces.

Sztukę przygotował kielecki reżyser Jerzy Wasilczyński, asystent reżysera — Franciszek Buratowski. Scenografia Jana Golki, opracowanie muzyczne Mirosława Nizurskiego.

Jak już informowaliśmy, w III Festiwalu Ziemi Górskich w Zakopanem i naszego województwa uczestniczyły dwa zespoły regionalne. Wśród 5 wyróżnionych znalazł się Regionalny Zespół Pieśni i Tańca ZTA z Łużnej, Regionalny Zespół Pieśni i Tańca przy OSP w Haczowie, pow. Brzozów, wyróżniony został za zestaw instrumentów i dobór tekstów. Ponadto Annie Rachwan i Janowi Walongowi z Łużnej przyznano indywidualne honorowe wyróżnienia za wykonanie starych tańców ludowych, a Stanisławowi Wysockiemu z Haczowa za przygotowanie programu.

11 bm. w Rzeszowie (Technikum Budowlane) i 12 w Kolbuszowej odbyły się koncerty muzyki popularnej, zorganizowane przez rzeszowską Państwową Filharmonię im. Artura Malawskiego. Orkiestrą dyrygował Janusz Ambros, a Barbarą Biskupska, artystką Teatru Muzycznego w Poznaniu, wykonała m. in. śpiew z operetki „My fair lady” K. Loewe oraz popularne utwory i piosenki.

W Mielcu, Jaśle i Dębicy odbyły się narady przedstawicieli Wydziałów Kultury Prez. PRN i zainteresowanych organizacji sportowych, poświęcone omówieniu warunków i metod realizacji porozumienia Ministerstwa Kultury i Sztuki z Głównym Komitetem Kultury Fizycznej i Turystyki w sprawie powiązania twórczości artystycznej i działalności kulturalno-oswiatowej ze sportem i turystyką.

16 bm. w rzeszowskim Domu Sztuki otwarta została zorganizowana przez BWA ZPAP i ZBoWiD wystawa pt. „Wizja lokalna sądu frankfurckiego w Oświęcimiu”. Jest to reportaż fotograficzny Adama Bujaka.

W niedzielę, 10 bm. przemyskie „Frederum” zainaugurowało sezon teatralny przedstawieniem „Ta trzecia”, opartym na noweli H. Sienkiewicza z adaptacją sceniczną Zb. Wróblewskiego. Reżyseria Irena Genewoja, scenografia Władysława Geneja.

W Rzeszowie odbyło się trzydniowe seminarium kierowników komórek społeczno-samorządowych, ośrodków „Praktyczna pani”, klubów i świetlic społa dzielstwach oraz instruktorów zespołów plastycznych, zorganizowane przez Okręg ZSS „Społem”.

Uczestnicy zapoznali się z zadaniami w nowym roku kulturalno-oswiatowym i formami pracy w swoich środowiskach.



SPOTKANIE

FOT. M. KOPEĆ